

**Hanna Łęcka**

**Posłuchaj, Alali...**

## Prolog

Przez otwarte okno wślizguje się wiaterek. Biała firanka pęcznieje jak nadmuchiwany balonik, by po chwili ustąpić miejsca barwnym przybyszom, rzeszy majestatycznie unoszących się i opadających owadów. I nie wiem, czy motylami są, czy też nie. Przysiadają tam, gdzie im wygodnie, i przybierają kształt rośliny. Aż chce się wyciągnąć dłoń i pochwycić choć jedną z nich.

Szeroko otwieram oczy, chcąc nacieszyć się ich widokiem. Nie śmiem poruszyć się, by nie spłoszyć moich gości. Próbuję jedynie oszacować ich liczbę. Sto? Tysiąc? Może jeszcze więcej... Czy mogłabym poderwać się i jednym, gwałtownym ruchem uczynić z nich więźniów?

Jednak nie ruszam się z miejsca, świadoma magicznej chwili odpędzam podstępne myśli i napawam .

się widokiem serduszkowatych stworzeń. Naraz podrywają się, tworząc akwamarynowy obłok i mieniać się ponad moją głowę, przybierają kształt, którego domyślam się. To mógłby być anioł. Tak, myślę, że tak wyglądają anioły... I nagle zrodziła się we mnie tęsknota. Za kimś podobnym aniołom.

Boję się mrugnąć, głębiej wciągnąć powietrze, tkwię rozdarta pomiędzy zjawiskowym zdarzeniem a wyobraźnią. Boję się obudzić z cudnego snu. Ale on już porzuca mnie i odchodzi tak samo zwyczajnie, jak przyszedł. I pozostawia tylko jedną, jedyną roślinkę. Bardzo rzadką, bo przecież nie można spełnić wszystkich życzeń na świecie.

Czy teraz ją spotkam? Czy wysłucham jej? Czy jestem gotowa na spotkanie z matką? Muszę tylko wypowiedzieć życzenie...

## Rozdział 1

Posadziłam kiedyś drzewo. Nie zrobiłam jednak tego zwyczajnie i po prostu. To byłoby zbyt łatwe, a ja lubię wyzwania nietuzinkowe. I właśnie dlatego wybrałam odpowiednio długi tunel, taki, w którym panuje ciemność.

Często obserwowałam tory kolejowe i rosnące pomiędzy nimi roślinki. Wytrwałe, zadziorne i wręcz bezczelnie pnące się ku słońcu. Skoro one mogły żyć, wciąż taranowane przez przejeżdżające pociągi, to czemu nie można by spróbować posadzić drzewa w tunelu? Czy sprzeciw wyniosłej natury okaże się silniejszy od wybryku? Byłam ciekawa, a teraz już znam odpowiedź.

Czasem natura płata figle samej sobie. I nie myślę tylko o moim drzewie rosnącym w tunelu, małym kasztanowcu potrącanym ciężkim, sapiącym oddechem lokomotywy, myślę o córkach i synach zrodzonych w bólach i zapakowanych w reklamówki.

Chodziłam tam codziennie, nosiłam w słoiku wodę i światło z latarki, aż do wyczerpania się baterii. Czekałam cierpliwie miesiąc i rok, ale wiem, że było warto.

Dziś moje drzewo trzyma się bardzo dzielnie, a mnie nie wypada narzekać. Bo w gruncie rzeczy miałam w życiu sporo szczęścia. Moja mama nie wyrzuciła mnie w końcu na śmietnik, lecz powierzyła opiece wspaniałych ludzi.

I jeszcze coś. Zaznałam miłości prawdziwej. Zresztą nadal Kocham Filipa. To, że nie jesteśmy już ze sobą, nie ma znaczenia. Ja i tak nikogo już nie pokocham. Rozstanie nasze wstrząsnęło wszystkimi znajomymi, zadziwiło również nas samych, a ponieważ krach nastąpił bez eksplozji kłamstw czy zdrad, to tak jakby nigdy go nie było. Nie muszę niczego wybaczać ani tym bardziej zarzucać czegoś sobie. Stało się i już.

Mieszkaliśmy pod jednym dachem pięć lat i dziewięć miesięcy. Wspólna praca, dom i przyjaciele. Oddzielne były tylko kubki do kawy. Gdy pewnego dnia potłukłam swój, rozplakałam się. A Filip, mój ukochany, po prostu stwierdził, że nic takiego się nie stało. Że przecież można kupić nowy kubek. Nie mogłam się z tym zgodzić, wołałam już nigdy więcej nie pić kawy! I o to właściwie poszło! Filip zabrał swoje rzeczy i wrócił do swojego mieszkania, pozostawiając mnie w żałobie nad nieszczęsnymi kawałkami fajansu. A później byliśmy zbyt dumni... Może kiedyś zaprowadzę go jednak do mojego drzewa w tunelu. Wszak po nocy zawsze następuje dzień, a po zimie wiosna. Zaś antonimem samotności jest bliskość drugiego człowieka. Mogę się jednak mylić...

Wiosna w tym roku przyszła tak cicho, że nikt jej nie zauważył, nawet ptaki, które powinny już nawoływać do godowego rytuału, tkwiąc potulnie na smętnych i przemarzniętych konarach drzew. Wygląda na to, że Zielona Pani zwyczajnie zasnęła, jadąc pociągiem naturalnej kolei rzeczy i nie wysiadła na odpowiedniej stacji Europy.

Może i ja ulegam chimerycznej aurze, pozwalając zepsuć sobie humor? No tak, czas zatankować. Podjeżdżam pod najbliższą stację w momencie, gdy czerwona kula słońca powoli zaczyna tonąć w chmurach, pozostawiając rozlaną kałużę różu. Tak pięknego zachodu nie widziałam już bardzo dawno, zapomniałam, jak może być cudowny i romantyczny. Od razu mi lepiej. Zerkam na wóz stojący przede mną, w którym siedzi znudzony oczekiwaniem na swoją kolejkę mężczyzna. A może jest zwyczajnie śpiący? Chyba tak, bo ziewa szeroko i zaraźliwie. Mogłabym policzyć jego zęby odbijające się we wstecznym lusterku. O, o, o, ziewam i ja. Gdy nasze oczy spotykają się, oboje parskamy śmiechem. Nie znam nic bardziej rozluźniającego i kojącego niż serdeczny, niewymuszony śmiech. Teraz to nawet przygoda z majtkami wydaje mi się komiczna.

O podróży na drugi koniec Polski dowiedziałam się w ostatniej chwili. W pośpiechu nie spakowałam zapasowej bielizny i jeszcze po drodze rozmyślałam o jej kupnie.

Po zakwaterowaniu w skromnym hoteliku spytałam recepcjonistkę o sklep, w którym mogłabym zaopatrzyć się w majtki. Okazało się, że w miasteczku jest tylko jeden, który na dodatek często jest zamknięty. Zaryzykowałam. Niemało natrudziłam się, by go odnaleźć. Nie dość, że wejście znajdowało się od strony podwórza, to nie dopatrzyłam się najmniejszej informacji o jego istnieniu. To cud, że drzwi i szyby przypominały witryny sklepowe. Przeczytałam napis na szybie: CZYNNE 6-20. Super, pomyślałam i nacisnęłam klamkę. Szarpnęłam bezskutecznie kilka razy i dopiero wtedy dojrzałam przystawione do drzwi ogromne lustro, służące zapewne do przymiarek. Było to jedyne logiczne wytłumaczenie, które przyszłoby każdemu do głowy. W jedynym sklepie w mieście musi być wszystko, a więc ubrania też. I oczywiście lustro. Tylko że na tym lustrze ktoś niedbale nakreślił kilka słów: „DZISIAJ MUSIAŁAM ZAMKNAĆ WCZEŚNIEJ. PO MAJTKI ALBO ZAPAŁKI ZAPRASZAM JUTRO”.

Nie wierzyłam własnym oczom. Kto pisze na lustrze takie brednie, w dodatku szminką? Trudno, pomyślałam, wypiorę te, które mam na sobie, może do rana wyschną?

Powędrowałam pod wskazany przez szefa adres, by omówić z pewnym księgowym plan działania. Nie znoszę donosicieli, choć bez nich byłabym bezrobotna.

Drzwi otworzyła kobieta, której niebanalna fryzura przypominała łany zboża po gradobiciu. Wyondulowane fale przechylały się na boki, odsłaniając gdzieś tam łysą miedzę. Nie zdziwiłam się, widząc przybyłego tuż po mnie jegomościa. A właściwie pierwszą dostrzegłam jego teczkę, której wypchane do granic możliwości kieszenie zwisały niczym ogromne cycki żony właściciela. Pośrodku zaś widniał zardzewiały zamek, taki, jakie pamiętają najstarsze tornistry.

Wysłuchałam, co ma do powiedzenia księgowy na temat prezesa swojej firmy, zrobiłem notatki i obiecałem skontaktować się nazajutrz. Jeszcze jeden nudny artykuł dotyczący lokalnej korupcji.

Drogę powrotną do hotelu okrasiałam zerknięciem na nieszczęsne lustro w jedynym sklepie w

mieście.

Rankiem wypędziła mnie z łóżka ciekawość, czy majtki wyschły. Z przerażeniem stwierdziłam, że zapomniałam je rozwiesić. Leżały w umywalce mokre i szczęśliwe na myśl o czekającym je błogim lenistwie. Trudno. Naciągnęłam spódnicę na goły tyłek i poszłam do sklepu. Ostatecznie nie mam napisane na czole, że chodzę bez majtek.

Nacisnęłam na znajomą klamkę, a tu znowu nic. Zamknięte. Przyłożyłam nos do szyby i odczytałam nowy bazgroł: „ŻONA POZWOLIŁA MI DŁUŻEJ POSPAĆ”. Niemożliwe, pomyślałam. A co z moją bielizną? Przecież nikt ze znajomych nie uwierzy w taką historyjkę. Potem wybrałam się znów do księgowego i do sklepiku zajrzałam dopiero po trzynastej. Wcale nie byłam zdziwiona na widok nowego napisu na lustrze: „SMAŻĘ NALEŚNIKI”. Najlepszy jednak był dopisek: „JAK KOMUŚ PILNO, NIECH ZACZEKA W BARZE”. W jakim barze? – myślałam gorączkowo. Nie widziałam w tej dziurze żadnego baru poza kontuarem w hotelu. Spytałam więc pierwszego przechodnia, którego spotkałam na ulicy.

– Przepraszam, jak trafić do baru?

Mężczyzna przyglądał mi się chwilę, po czym zdjął wymięty kapelusz i machnął nim w kierunku następnej bazy. Podziękowałam grzecznie i skręciłam w ponury korytarz prowadzący na śmierdzące kanalizacją podwórze. Rozejrzałam się w poszukiwaniu wejścia, ale żadne nie pasowało do wyobrażenia barowych drzwi. W końcu dostrzegłam przyklejoną do jednego z okien kartkę. Z bliska odczytałam: BAR „MORSKIE MAJTKI”.

Myślałam, że śnię albo że to jakiś spisek? Tylko po co ktoś zadawałby sobie tyle trudu, żebyśmy wywietrzyła tyłek? Bez sensu. Oczywiście zaryzykowałam i weszłam do środka.

Za zrujnowanymi, skrzypiącymi drzwiami zastałam inny świat. Jak w bajce o rozwalającej się chatce, wewnątrz której wypełniają bogactwa i skarby... „Bar” świecił jak rozjaśniona na święta choinka. Marmurowa podłoga, alabastrowe zgrabne stoliki i gustowne, pamiętające napoleońskie wojny foteliki sprawiły, że wewnątrz kipiało wprost przepychem. Całość dopełniała miniscena z umocowaną pośrodku srebrną rurą...

Wybrałam stolik i cierpliwie poczekałam na kelnerkę.

– Czy ten sklep w sąsiedniej bramie będzie kiedyś czynny? – spytałam zachęcona przyjaznym uśmiechem kuso ubranej panienki.

– A, nasz pan Gienio! Tam jest dosłownie wszystko, nawet rosół w proszku – usłyszałam szczebiocącą odpowiedź.

– Tak, wiem, że ma wszystko. Pytam, kiedy otwiera ten swój kram? – Wciąż miałam nadzieję, że jednak kupię majtki.

– Ach tak... Czyżbyś potrzebowała majteczek? – Konspiracyjny uśmiech ozdobił buźkę dziewczyny.

Pędem pobiegłam do łazienki, gdzie z ulgą stwierdziłam brak jakiegokolwiek napisu na czole. Próbowалаm zebrać myśli, ale one hasały beztrosko i nie pozwalały sobą dyrygować. Po godzinie naiwnie stanęłam przed lustrem zwierzeń pana Genia i zza szyby odczytałam nowy

napis: „ZGADNIJCIE, CO ROBIĘ?” Idiota! Nie zastanawiałam się długo, co może porabiać ten dowcipniś. Wyjęłam z notesu karteczkę i napisałam do niej szminką, a jakże!: „SRASZ, BARANIE?” Za pomocą gumy do żucia umocowałam ją do szyby i zadowolona z siebie wróciłam do hotelu. Tam włożyłam wilgotne majtki i wyruszyłam w drogę powrotną. Zaczynam chichotać na wspomnienie tajemniczego pana Gienia, który pośredniczy zapewne w załatwianiu dziewczynom pracy w podejrzanym barze. Po co miałyby się trudzić i całymi dniami tkwić w sklepie?

Mój szef powinien być zadowolony z artykułu, który jutro znajdzie na swoim biurku.

Dobrze, że za chwilę będę w domu. Może wpadnie Beata? Nie uwierzy w moją opowieść, powie tym swoim wesołym tonem: „A potem się obudziłaś?”

Z Beatą znam się od dzieciństwa. Jej zaraźliwy śmiech rozbrzmiewał już w przedszkolu, do którego razem chodziliśmy. Ukrywałyśmy się w kibelku, by porównywać nasze, jak to my nazywałyśmy „widoczki”. To właśnie ona uświadomiła mi dwuznaczności spotykane w dziecięcych kołysankach, nawet tych śpiewanych przez babcię i na dowód swych słów recytowała: „Kochał się król. Kochał się paż. W królewskiej tej dziewoi. I ona też kochała ich, kochali się we troje”.

– No i co? Uważasz to za normalne, że kochali się we troje? – A żebym nie miała już żadnych wątpliwości, nuciła moją ukochaną „Bajkę iskierki”: „... a w tej chatce same dziwy... „

– Widzisz, moja Donko, „dziwy” to takie babska w krótkich spódniczkach odbijające cudzych mężów. – Cóż miałam począć? Uwierzyłam.

Pamiętam też chwilę, gdy spytałam:

– Beata, dlaczego w twoim domu nie ma telewizora?

– A czy ja się ciebie pytam, dlaczego w twoim nie ma mamy ani taty? – wypaliła rezolutna siedmiolatka.

Rzeczywiście, ona jedna nie zadała mi tego pytania. Chociaż powinna być ciekawa. Może rodzice zabronili jej pytać, a może to wrodzona chęć chronienia małej przyjaciółki powstrzymywała ją przed zaspokojeniem ciekawości?

Od tamtej pory już wiem, że małe dziewczynki miewają przeróżnych rodziców, którzy postępują, jak zechcą, nie pytając swych córek o zdanie...

Moja mama odpłynęła niczym rwąca rzeka na randkę z morzem, pozostawiając w tyle zalane łzami twarze rodziców i dziecka. O ojcu nie wiem nic, poza tym, że obdarzył mnie oliwkową cerą i czarnymi włosami. Reszty mogę się tylko domyślać. Kiedyś nawet to robiłam. Wyobrażałam sobie spotkanie z nieświadomym dotąd mojego istnienia tatusiem. Jak tuli odzyskaną córeczkę, powtarza wciąż, że kocha i zabierze ze sobą. Z czasem jednak zdałam sobie sprawę, że mam wszystko, czego mi trzeba, kochanych dziadków, Beatę, znajomych i teraz pracę.

Wreszcie jestem na miejscu. Parkuję samochód, sięgam po klamoty i już wbiegam do klatki schodowej. Czas oczekiwania na windę skracam pukaniem do drzwi Beaty.

– Jestem, melduję się. – Zostaję wciągnięta do maleńkiego przedpokoju, a moje tobołki lądują na podłodze.

– Dobrze, że jesteś, muszę ci o czymś powiedzieć. To ważne! – No cóż, sama zapukałam.

– Co się stało? Jestem skonana jazdą. Daj mi chociaż opłukać ręce. – Przyjaciółka poddańczym gestem przepuszcza mnie do łazienki. Siadam na kibelku. Ale ulga! Opróżniam z pewnością mniejszy niż u innych zbiorniczek i krzyczę przez drzwi:

– Wiesz, chyba zrobię sobie operację plastyczną! Beata staje w otwartych drzwiach i z niedowierzaniem pyta:

– Powiększysz sobie cycki?

Kręcę przecząco głową.

– To może nowy nos? Żartuję, to nie w twoim stylu... Co zamierzasz?

– Naprawdę nie wiesz? Powiększę sobie pęcherz moczowy! – Obie płaczemy ze śmiechu.

Ale prawdziwa rewelacja następuje po pociągnięciu za sznurek rezerwuaru. Na początek odgłos przypominający ryk wściekłego lwa, a po nim seria jednoznacznych westchnień, coś w rodzaju „och” i „ach”, nie powiem zresztą czyich i w czasie czego.

– Ale odgłosy, znowu naprawiałaś to świństwo? – pytam, choć wiem, że czeka ją remont i do tego czasu postanowiła nie inwestować w stare graty. – Ja nie zniosłabym takich odgłosów. To istne zoo. A tak między nami – dodaję konspiracyjnie. – Niezły ten „naprawiacz”?

Zapomniałam dodać, że moja przyjaciółka zna się na mężczyznach jak mało kto. Raz nawet była mężatką i od tamtej pory odgraża się, że nigdy więcej dobrowolnie nie nałoży kagańca. Poleca za to przelotne flirty i miłostki, motywując w swój charakterystyczny sposób.

– Słuchaj, co byś powiedziała na to? Wchodzisz do jakiegoś sklepu, a tam siedzi panienka i grzebie sobie w majtkach. Jak by to wyglądało z perspektywy klienta, co? – Nie sposób nie zgodzić się z taką argumentacją.

Dzisiaj nie chodzi jednak o faceta. Beata robi herbatę, wygodnie rozsiadamy się w fotelach i cała zamieniam się w słuch.

– Nie gap się tak na mnie, nie wywalili mnie z pracy. Wymyśliłam hasło. Rozumiesz? HASŁO życia. – Widzę, że chodzi o coś naprawdę ważnego. Moja przyjaciółka sprawia wrażenie piętnastolatki. Jasne, długie włosy jak zwykle upięte wysoko, króciutka, prosta grzywka zazwyczaj odejmują jej kilka lat. Ale dzisiaj wygląda jeszcze młodziej.

– Czy ma to związek z reklamą wozu, o którym mi mówiłaś.

– Tak, właśnie. Wyobraź sobie, najlepiej zamknij oczy i słuchaj. Samochód stoi sobie na podeście, a wokół krąży damulka, zagląda we wszystkie szpary i z politowaniem kręci głową. Co chwila burknie pod nosem: „Do niczego... „ Na koniec podchodzi do dilerka i głośno akcentując każde słowo, mówi: „Do niczego nie można się przyczepić. Biorę. „

Zatyka mnie z wrażenia. Przecież to superpomysł! Bez zbędnych słów rzucam się na Beatę z pocałunkami i gratulacjami.

– Czy twój kierownik już to słyszał?

– No coś ty, czekałam na ciebie... – Mój spec od reklamy czeka na aprobatę koleżanki? Chyba obie czujemy, że tym razem to celny strzał.

– Wariatko, nie zwlekaj. Chodźmy do mnie, chyba mam szampana... – Naprawdę jestem wzruszona i dumna z mojej przyjaciółki.

– Nie za wcześnie na toasty? A zresztą, mam ochotę na lampkę.

W windzie dostrzegamy nowość. Tablica reklamująca lokalnych fachowców, lekarzy. Zerkamy na siebie porozumiewawczo i śmiejemy się. Tak, Beata stoi przed ogromną szansą. Skoro opłaca się reklama w windzie?

Mieszkanko wita nas dusznym oddechem. Otwieram okno i rzucam spojrzenie na sekretarkę. Sprawdzam wiadomości. Już pierwsza paraliżuje naszą spontaniczność.

– Aldonko! Dziadek załamany, on już... Wiesz... Przyjdź jak najszybciej. – Babcia płakała. A ja... Jest to moment, w którym naprawdę żałuję, że nie mam komórki. Przecież mogłabym już tam być. O Boże!

– Muszę natychmiast tam jechać. Przepraszam, – jąkam się niepotrzebnie.

– Jedź, tylko uważaj na siebie. – Tulimy się chwilę, po czym chwytam torebkę i zbiegam po schodach.



## Rozdział 2

Do domu, w którym się wychowałam, docieram w niecałą godzinę. A to i tak zbyt krótko, wzięwszy pod uwagę kolejkę myśli kłębiących się w celu ewentualnego rozpatrzenia przez mój mózg. Biedny dziadek, najbardziej ze wszystkich chorób obawiał się ślepoty. Jakiś czas temu, gdy zorientował się, że widzi coraz gorzej, powiedział coś, co nie dawało mnie i babci spokoju.

– Moje panie, kiedy nadejdzie dzień, w którym stracę zdolność widzenia, nie martwcie się. Wreszcie ujrzę lewą stronę. Zresztą mam tam interes do załatwienia...

Nie rozumiałam wówczas wszystkiego, ale domyśliłam się, co miał na myśli, mówiąc „lewa strona”. Jakich mam użyć słów, żeby dziadek zrezygnował z bierności, by nie poddał się? Dotąd to on troszczył się o swoje dwie kobiety, to dzięki niemu zaczęłam pisać... A teraz sam potrzebuje pomocy i oparcia. Dlaczego nie można na zapas napatrzyć się? Najeść? Nakochać?

Zastaję otwartą bramę, a gdy podchodzę pod próg, babcia uchyla drzwi i bierze mnie w ramiona.

– Dzwoniła Beatka. Niepokoila się... To taka dobra dziewczyna, musisz oddzwonić i uspokoić ją. – Babcia ma zapuchnięte od łez oczy. Głaszczę białe włosy, tulę przez moment drobną postać.

– Gdzie on jest? – pytam, choć wiem, gdzie szukać dziadka.

– U siebie, znasz go przecież... – Babcia odprowadza mnie do jego ulubionego pokoju i pozostawia samych.

Gabinet dziadka pachnie mamutem, jakby cała nowoczesność niczym nieproszony gość pozostała za drzwiami. W drewnianych belkach panoszą się korniki, których dowody istnienia, maleńkie kupki jasnego pyłu nieraz zdmuchiwaaliśmy z dziadkiem w obawie przed wszędobylskim odkurzaczem babci. Ta poczciwa kobieta, jak mawia dziadek, tylko czyha, aby pozbyć się tych drobnych, pełnoprawnych mieszkańców pokoju. Prawdę mówiąc, ani babcia, ani ja nie odważyłybyśmy się porządkować jego rzeczy. Zawsze robił to sam, zadziwiając nas brakiem jakichkolwiek śmieci do wyrzucenia.

Nigdy dotąd nie widziałam dziadka płaczącego. Teraz jego oczy spełniają swą drugą po patrzeniu powinność.

– Dziadku, jestem... – Nie potrafię zahamować słonych strug. Przybliżam twarz do powitania, a nasze strumienie łączą się i rzeką spływają po policzkach, brodach, by wsiąknąć w ubrania.

– Jak to się stało? Czy był lekarz? – zadaję bzdurne pytanie, bo wiem, że dziadek skończył z medycyną już dawno. Lekarze nie chcieli przeprowadzić operacji ze względu na słabe serce...

Dziadek wyciera nos, porządnie każdą dziurkę po kolei. Niewidzące oczy, mętne i bez wyrazu, tkwią w niedostępnym dla ludzi zdrowych miejscu.

– Babcia przeczytała mi twoje opowiadanie... To o motyłu... To na niego w tej chwili patrzę. Widzę go tak wyraźnie jak kiedyś... Musisz mi powiedzieć, skąd się dowiedziałas o jego istnieniu? Przecież takiego gatunku nie znalazłaś w atlasie?

Niepokoi mnie nawiedzony ton w głosie dziadka.

– To proste, przyśnił mi się. – To prawda. Kilka miesięcy temu miałam dziwny sen. Leżałam na łące, wypatrując podobieństw między obłokami a rzeczywistością. Błogie próżniactwo zakłóciła ciemna chmura, która nie czekając w podobłocznej kolejce, przywarła do słońca, zacinając moje dobre samopoczucie. Rozzłoszczona jej tupetem, już miałam się podnieść, gdy dostrzegłam sporą kępę koniczyny.

Już ja ci pokażę! Rozpoczęłam gorączkowe poszukiwania czterolistnej roślinki, gwarantującej spełnienie marzenia swego znalazcy. Po chwili wypatrzyłam ją. Istne чудо! Już sięgałam po mój skarb, gdy on zatrzepotał listkami jak motyl, uniósł się powoli, majestatycznie, świadomy swej urody. Wirując nade mną, przypominał mi ogromną kroplę morskiej wody o kształcie motyla. W moim ulubionym kolorze akwamaryny. Urzeczona migotającym stworzeniem, wpatrywałam się weń, póki nie zawieruszył się w błękitnie nieba. Myśl o motyłu towarzyszyła mi odtąd dopóty, dopóki nie usiadłam do napisania tekstu. Czyżbym podświadomie przeczuwała, że jest to coś bardzo ważnego? Dlaczego przyśnił się właśnie mnie?

– Dziadku, motyl przyszedł do mnie we śnie i zaabsorbował moje myśli do tego stopnia, że MUSIAŁAM o nim napisać. Co to może znaczyć? Chcę wiedzieć.

W drzwiach staje babcia, pochlipując jak my.

– Sabinko, daj naszej wnuczce kuferek. – Dziadek wskazuje ruchem głowy komodę, tę, której ostatnia szuflada zamknięta jest na klucz. Babcia posłusznie przekręca klucz i wyjmując stają jak świat walizeczkę. Teraz nie robi się takich cacuszek. Kształtny kuferek wykonano z płótna, niegdyś zapewne ciemnozielonego, dziś nieco wyblakłego, ranty wzmocniono paseczkami juchtowej skórki, ciemnobrązowej od upływu czasu. Pod skórzaną rączką zainstalowano małeńki zameczek, z tych, które otwieram za pomocą spinki do włosów. Tym razem nie trzeba tego robić, ponieważ do rączki przytroczony jest mały złoty kluczyk. Jakiej to tajemnicy może strzec prześliczny kuferek? Oczywiście wyobrażam sobie, że ujrzę moich najbliższych, może nawet wspólne zdjęcie rodziców. Jaki może mieć związek sen o motyłu z zawartością kufereka?

– Zabierz go do siebie. Sama zdecydujesz, czy zechcesz poznać jego zawartość. – Dziadek z trudem wymawia każde słowo, jakby raniły go w samo serce. – Uprzedzić cię jednak muszę, że trudno będzie żyć z taką schedą. Ja do tej pory nie potrafię wybaczyć, chociaż minęło siedemdziesiąt lat...

– Aż tyle? – Doprawdy nie rozumiem już nic. – Więc TO nie dotyczy moich rodziców?

– Nie, kochanie, to stara historia i zapewniam cię, że gdyby nie motyl... Nie obarczałbym cię

tak odległą tajemnicą. A teraz jest mi jeszcze łatwiej, ponieważ nie muszę patrzeć ci w oczy. To upraszcza moje zadanie... Otóż ja widziałem motyla z twojego snu, jedyny raz... Na pogrzebie mojej siostry. Wiesz przecież, że miałem siostrę Nastkę?

– Tak, pamiętam, jak mi kiedyś o niej mówiłeś. Zdaje się, że umarła, mając zaledwie dziewięć lat? Nie mogłam wyciągnąć od was więcej informacji.

Babcia dziwiła się, że w ogóle mi o niej wspomniałeś.

– Tak, to prawda, ale teraz myślę inaczej. Ona zasłużyła na pamięć. Chcę, byś ją lepiej poznała, ale tym samym znienawidzisz jak ja moją matkę, a swoją prababkę. Dlatego musisz wybrać sama, czy chcesz tego, czy nie.

Do tej pory uważałam swoje życie za pokręcone i skomplikowane, teraz zastanawiam się, czy starczy mi sił na wysupłanie się z jeszcze jednej pętli. Pogodziłam się z faktem porzucenia przez oboje rodziców, w ogromnej mierze zawdzięczam to właśnie dziadkowi. A teraz okazuje się, że mój filar, wpajający wiarę w dobro i optymizm, sam pielęgnuje nienawiść do swojej matki. Tyle lat? Co ona takiego zrobiła?

Spoglądam na kuferek wygodnie usadowiony na moich kolanach, będący „schedą”, jak określił dziadek. Tak, chcę wiedzieć.

– Chciałabym najpierw usłyszeć o naszym wspólnym znajomym, o motylu i o pogrzebie...

Dziadek obejmuje żonę, tworząc coś w rodzaju barykady. Razem stanowią monolit, nie do skruszenia. Zawsze tak było. Jednomyslność w każdej dziedzinie. I jak zwykle przemawia dziadek, tylko że tym razem brzmi to jak spowiedź.

– Miałem sześć lat. Nastka nie żyła, a matka trafiła do więzienia. Takie wydarzenie przyciągnęło wielu wstrząśniętych ludzi, rzeszę ciekawskich i zwykłych gapiów. Nie dosłyszałem słów księdza, który zbyt cicho wymawiał obowiązkowe formułki. Dopiero gdy wyłowilem z potoku słów jej imię, a grabarze zaczęli spuszczać do dołu trumnę, zacząłem krzyżeć. Jakaś kobieta omal nie udusiła mnie swym cielskiem, pragnąc uciszyć, ale ja wyrwałem się w poszukiwaniu mamy. Myślałem, że może ona zabroni obcym ludziom zakopywać Nastkę. Znowu uwięziły mnie obce ramiona, aż opadłem z sił i w ciszy obserwowałem rosnącą górę kwiatów. Utkwiłem wzrok w bukiecie polnych roślin rzuconym przez jakieś dziecko. Przywiędłe maki, rumianki, koniczyny... Przypomniałem sobie wtedy o wróżbie. To Nastka odszukiwała czterolistne koniczynki i wymyślała marzenia, które miały się w zamian spełnić. Pochwyciłem ostatnią nadzieję i długo wpatrywałem się w skromny bukiet, aż dostrzegłem cztery listki osadzone na jednej łodyżce. Pomyślałem życzenie, z ufnością wlepiając oczy w cudowne listki. I wtedy one poruszyły się i uleciały. Okazały się pięknym motylem, którego serduszkowate skrzydełka do złudzenia przypominały czterolistną koniczynę. Przez dłuższą chwilę motyl krążył nad głowami żałobników, poszukując dogodnego do odpoczynku miejsca, po czym rozmyślił się i wirował w górze, wydając się kroplą wody zamkniętą w kształcie motyla. Po chwili wzbił się na tyle wysoko, że straciłem go z oczu. Doskonale pamiętam uniesione głowy, zaintrygowane dziwnymi odwiedzinami spojrzenia. Choć Nastka nie

wróciła, byłem spokojny w dziecięcy, naiwny sposób wierząc, że zamieniona w motyla, beztrzesko unosi się na wietrze. Wiem, że to brzmi jak bajka, ale to prawda. – Dziadek ukrywa twarz w dłoniach. Tak, piękna bajka, nie ma co. Nie bacząc na reakcję dziadków, poddaję się własnemu instynktowi obronnemu i wyrzucam z siebie tłumiony szloch. Nie znajdując ukojenia w ramionach bliskich, wybiegam do ogrodu, by tak do końca zrozumieć tragizm zdarzenia sprzed tylu lat. Otula mnie noc, kołysze w przepastnych ramionach jak matka. Rzęsisty deszcz pomaga wypłukać resztkę łez. Przemoczona odnajduję znajomą altankę, ulubiony kącik naszej trójki. To tutaj zwierzałam się z pierwszych dobrych i złych doświadczeń, a teraz mój ażurowy domeczku wysłuchasz nowych wynurzeń, choć może już znasz tę historię, tylko potrafiłeś dochować tajemnicy. Gdyby nagle okazało się, że jesteś pałacem, nie zdziwiłoby mnie to, uwierzyłabym nawet w stado motyli wylatujące ze starej walizeczki, tak, uroczy domku, właśnie uwierzyłam w przeznaczenie, a dotychczasowa teoria o kowalu swego szczęścia legła w głębokim dole razem z dziewięcioletnią... Właściwie kim byłaby dla mnie Nastka? Stryjeczną babką? I dlaczego umarła jako dziecko? Czy prababka była odpowiedzialna za jej śmierć? Wszystko na to wskazuje. Dlatego dziadkowi tak ciężko o tym mówić. Zresztą komu byłoby łatwo „tak, moja matka zawiniła śmierci własnego dziecka”. Tylko czy nie została już dawno ukarana? Przecież siedziała ponoć w więzieniu, czy zatem nie zapłaciła już kary za swój czyn?

Wracam do rozświetlonego domu, by bronić nieszczęsnej kobiety, gotowa błagać jej syna o przebaczenie.

Siedzący obok siebie dziadkowie jak zwykle tworzą niezdobytą twierdzę, ramię w ramię przyjmując kolejne ataki mojego charakterku.

– „Może już czas wybaczyć mamusi?” Czy to nie wasze słowa? Ja wybaczyłam, więc dlaczego i wy tego nie zrobicie w stosunku do babki? Przecież ona poniosła karę, straciła własne dziecko?

– Nie usłyszałaś najważniejszego i nie rozumiesz. To ona zabiła Nastkę! Potem sama zgłosiła się do komisarza policji. – Informacja zadziałała jak saszetka masującego wapna na szklankę wody. Wzburzona krew zablokowała zmysły i zamieszała w szufladach mózgu. Najpewniej rozsądek zamienił się miejscami z odruchami bezwarunkowymi, bo właśnie siedzę w samochodzie, a miejsce pasażera zajmuje staroświecka walizeczka.

A może ja śpię? Czarne ściany lasu pasują raczej do horrorów puszcanych w telewizji, do tego strugi deszczu rozmywające obraz w świetle lamp samochodu. Ogarnia mnie strach, walczę jeszcze, by nie poddać się panicznej fali, gdy dostrzegam przed sobą biały obłok przybierający kształt dziecka. Naciskam hamulec, ale samochód nie zwalnia, próbuję więc raz jeszcze... Ależ boli mnie noga. Wcisnęłam stopę pomiędzy ciasne pręty metalowego łóżka. Ale sen. Zlepek kilku obejrzanych filmów. Okropność! Wtulona w poduchy próbuję zasnąć ponownie. Ledwie przysmykam powieki, obraz zjawy powraca, a przerażone spojrzenie dziecięcych oczu jest dziwnie znajome... Przypomina dwie morskie krople uwięzione w szlachetnym akwamarynie. Podrywam się i zaglądam pod łóżko. Pośród wycyganionych od babci pudeł na kapelusze

uśmiecha się szyderczo jedynym, ukrytym pod rączką okiem kuferek. A małeńki złoty kluczyk  
nęci...

### Rozdział 3

Dobrze, że Beata wyciągnęła mnie z domu. Choć film przereklamowany, wykorzystaliśmy okazję, by policzyć wypełniające dolną szczękę, zwichrowane zęby pana Granta. Cóż, skoro jemu ortodonta się kłania, to my abolicjujemy własne wdzięki. Podbudowane trafnymi wnioskami wędrujemy do parku w odwiedzinach do... metalowego siusiaka.

– Cześć, malutki! – Witamy ptaszka, ale on nie przerywa siusiania.

– No cóż, przynajmniej wiemy, że nie jesteś chory, siusiaj na zdrowie.

Trudno znaleźć wolną ławkę, nie tylko my polubiłyśmy szmer wody w fontannie.

– Spójrz na tego faceta z gazetą, poczytamy razem z nim? – To nasz stary numer, ale wciąż skutkuje. Siadamy z obu stron delikwenta i zaglądamy w gazetę. Nikt tego nie lubi. Nieszczęśnik przez chwilę waży szanse, po czym sfrustrowany odchodzi.

– Widziałaś jego płaszcz? Taki sam nosił nieśmiertelny Colombo. – Śmiejemy się krótko i nerwowo. Trzeba w końcu poważnie pogadać.

– Beata, dzięki za dobroć, bardzo potrzebowałam odreagowania, a sama nigdzie bym nie wyszła.

– Nie ma sprawy, ja tylko spłacam dług. Kiedyś ty byłaś dobra dla mnie...

– Co ty wygadujesz, niby kiedy byłam taka dobra?

– W przedszkolu, głuptasie. Tylko ty zgodziłaś się siedzieć obok łysej dziewczynki.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że chorujesz, nosiłaś ładną chusteczkę...

– Chyba ty jedyna. Inne dzieciaki wiedziały. Pomyślałam, że skoro tobie to nie przeszkadza, to jesteś inna. Po prostu dobra...

– To już wiesz, nie zasłużyłam na ciebie. Chwila ciszy przeciąga się jak spaghetti i kluchą tkwi w gardle.

– Aldona, coś cię gryzie, powiesz mi? – Spodziewałam się tego pytania od kilku dni, układałam nawet w myślach odpowiedź. A tu klops. Gula w gardle i brak słów.

– Jeszcze nie teraz. Sama muszę mieć pewność...

– Chyba nie jesteś...

– Nie, anioł mi nie zwiastował.

– A szkoda, miałybyśmy dzidziusia.

Rozmowa odroczone. Teraz nawet się cieszę. Może muszę ponosić w sobie sekrety rodzinne, donosić je jak ciężę, żeby urodzić zdrowe dziecko.

Spoglądam w niebo, ponad drzewa zasypane świeżą zielonością.

– O Boże! Ktoś chodzi po niebie. Człowiek spacerujący w powietrzu, ja zwariowałam... – Na granicy nieba i koron drzew najzwyczajniej w świecie ktoś wędruje.

– Zwariowałyśmy obie, bo ja też go widzę...

Wstajemy zapatrzone na baraszkującego w przestworzach jegomościa, po czym jednocześnie wskakujemy na ławkę. Z naszymi głowami wszystko w porządku. Stojąc wyżej dostrzegamy fragment dachu jakiegoś budynku. Zdun czy dekarz, nieważne kim jest ów człowiek, najważniejsze, że doprowadził nas do takiego śmiechu, którego nie wytrzyma żaden pęcherz, tym bardziej mój. Naprawdę zrobię sobie tę operację plastyczną.

Moja przyjaciółka była już kiedyś zamężna. Wyszła za kolegę ze studiów, który poczuł nagle powołanie do życia w ascezie. Wyjechał w tym celu do Afryki, by nigdy już nie powrócić. Zmarł na jakąś tajemniczą chorobę, której przyczyną według Beaty było zwyczajne zaniedbanie podstawowych zasad higieny. To wówczas poprosiła mnie o chwilę skupienia, bym wysłuchała historii życia pewnej kobiety.

– Dawno temu gdzieś w szerokim świecie, w którym królestwa rozciągały się od podnóża jednej góry po podnóże drugiej, a granice między nimi wytyczały najzwyczajniejsze potoki, istniało niewielkie państewko. Ludzie zamieszkujący je wiedli dość spokojny żywot, urozmaicony jedynie drobnymi skandalami wywoływanymi przez rozpieszczone dzieci lub niewiernych małżonków. Do kraju tego przybyła nieznajoma nikomu, piękna dziewczyna. Twierdziła ona, że wszyscy jej bliscy pomarli i została sama na świecie. Niezwykła uroda młodej kobiety sprawiła, iż kolejni kawalerowie zakochiwali się w niej bez pamięci. Lecz gdy dziewczyna decydowała się na któregoś z nich, to ten zapadał na śmiertelną chorobę. W końcu urodziwa panna zrozumiała, że to jej uczucie zabija ukochane przez nią osoby. Postanowiła zatem wydać się za pierwszego lepszego nicponia, którego, jak jej się wydawało, nigdy nie zdoła pokochać. Nie przewidziała jednego.

– Czego? – spytałam.

– Otóż pewnego dnia zorientowała się, że jest w ciąży...

– Przeróżające – stwierdziłam.

– Tak, to wstrząsająca historia. To twoja historia – dodała.

– To było moje życie? – Zrozumiałam, że obie mamy spaprane życie i nie ma sensu użalać się nad sobą.

– Obie przyzwyczyliśmy się już do łez. Płacz stał się dla nas tak naturalny jak mycie zębów albo rąk. Dlatego wymyślmy dla nas inny, lepszy świat, w którym płaczą inni. Nie my. Albo taki, w którym nie płacze nikt.

– Dobrze – zgodziłam się. – Wymyślę go.

## Rozdział 4

Myśl o prababce powraca natrętnie, wpycha się pomiędzy długopis i kartkę, słowo i oddech, raczy się moją bezradnością jak wampir wessany w tętnicę ofiary. Pewnie dlatego zostaję oddelegowana na urlop.

– Pojedzie pani w ładne miejsce, odpocznie, porozgląda się... A jak coś pani napisze, to prześle do redakcji. Zgoda, pani Aldonko?

Oczywiście, że się zgadzam. Teraz na pewno odpocznę. Wychodzę zdruzgotana własną bezsilnością. A Beata na drugim końcu świata!

Na ulicy rozglądam się bezskutecznie. Rozpaczam więc odliczanie: „Raz, dwa, trzy, cztery maszerują oficerzy. A za nimi kurdupelki powpadały do...”

– Aldona, dyrygujesz? – Filip sprawdza moje czoło.

– Ja... Nie, tylko nie pamiętam, gdzie zaparkowałam...

– Ale z ciebie wariatka. Słuchaj, wieczorem będę coś dla ciebie miał.

– Jeszcze pamiętam, co masz do zaoferowania...

– Nie wygłupiaj się. Sama przecież prosiłaś o materiały... Pisziesz książkę?

– A, mówisz o więziennictwie... Kiedy je będziesz miał? – Poczulałam zastrzyk adrenaliny.

– Przecież już mówiłem, dziś wieczór... Co z tobą? Od dłuższego czasu chodzisz, jakbyś była w transie...

– Przyniesiesz do redakcji? Czy... Bo ja idę na urlop.

– Przywiozę je do ciebie, gdy tylko otrzymam faks, zgoda?

Dzisiaj zgadzam się na wszystkie propozycje. Chce wozić, niech wozi.

Otwieram drzwi i wpuszczam do środka Filipa. Nie kryje zdziwienia.

– Nic tu nie zmieniałaś?

– Przecież wiesz, że nie lubię zmian.

– Niewiele tego, ale zawsze coś. – Podaje mi kilka kartek.

– Bardzo dziękuję i za to. Długo ślęczałam w bibliotece, ale bez skutku. Znalazłam tylko ogólne informacje o administracji więziennej, a ja potrzebuję konkretów o losie skazanych w latach trzydziestych za ciężkie przestępstwa.

– Z tych materiałów wynika, że większość wywieziono do obozów koncentracyjnych albo rozwalono z miejsca. Powiesz, co piszesz?

– Na razie nie... To sprawy rodzinne. Muszę się sama tym zająć, po prostu muszę...

Filip głaszcze moje włosy, ramiona. A ja łaszę się jak wygłodniała kotka. Zapominam o... Nie pamiętam o czym. Nie ma sensu mówić, nie. Kontynuujemy coś, co uważaliśmy za zakończone. Wystarczył lekki podmuch by wskrzesić tłący się ognik. Buchamy płomieniem,



którego nie ugasi byle wóz strażacki.

Potem przez wiele minut szukamy, dobieramy takie zwroty, które nie zdradzą prawdziwych myśli.

Będąc ze sobą, ciułałiśmy wielkie słowa na inne, lepsze okazje, które nam się zdarzały... A może byliśmy głupcami?

– Kocham cię i nie zmarnuję drugiej szansy... – Iście artyleryjski strzał, powaliłby mnie z nóg, gdyby nie to, że leżę już na podłodze.

– A co z przysłowiowym odgrzewanym kotлетem?

– Wyrzucimy przez okno, może trafi innego zgłodniałego głupca, jakim byłem. Mówię poważnie, spróbujmy...

No cóż, jestem konsekwentna i zgadzam się na kolejną dziś propozycję bez cienia sprzeciwu.

– Aldona, jesteś taka... słodka, chyba cię pożrę!

– Hola, hola, to się nie opłaci. Znam co najmniej dwa przypadki, kiedy nie wyszło to żarłokom na zdrowie...

– Co ty wygadujesz?

Tak, tak, jeden z mitologii, jak to okrutny Kronos pożerał kolejno własne dzieci, aż w końcu je zwymiotował.

– Mówiłaś o dwóch przypadkach.

– Żartujesz? Czerwonego Kapturka nie znasz?

Mimo wszystko postanawia mnie pożreć. Walcząc zaciekle, turlamy się prosto pod drzwi łazienki, a tu wpadamy na pomysł wspólnej kąpieli.

– Muszę pojechać na Pomorze, zajmie mi to dwa, trzy dni. Gdy wrócę, spakuję manatki i przeniosę się tu, zgoda?

– Zgoda, wreszcie ktoś mi porządnie wymyje plecy. – Całkiem słusznie zostaję pociągnięta za grzywkę.

Dźwięk telefonu wkracza w nastrój jak zabłocony bucior na perski dywan.

– Idę, już idę... Muszę ściszyć ten sygnał. Słucham?

Wracam do drzemiącego Filipa, otulonego pianą.

– Mój dziadek zmarł...

Czyż umierające liście nie są najpiękniejsze? Czyż siwe czupryny muszą oznaczać kres drogi?

Dlaczego śmierć człowieka jest taka przykra? Dla tych, którzy zostali tu, oczywiście. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że każda chwila pośpiechu przybliży nas do końca ziemskiej wędrówki. Upływ czasu jest nieubłagany, a nam zdarza się przecież niecierpliwie pragnąć jakiegoś wydarzenia z przyszłości. Każda taka prośba o szybszy upływ czasu obróci się przeciwko nam. To pewne. Przepraszam dziadku... Wciąż mi spieszno było.

Potrzebuję poczuć się silną. Takim bogiem – kobietą. Czasem już doznawałam podobnego uczucia, szłam wówczas na pole rozciągające się za domem w Miławce i odszukiwałam szczelinę

w ziemi, a wewnątrz niej uwijające się mrówki, każda zajęta mrówczymi czynnościami, obowiązkami wobec królowej. I ja ponad nimi. To w moich rękach znajdowała się władza absolutna. Mogłam za każdym razem poczuć się bogiem mrówek, który może sprawić, by ich świat przestał istnieć. Mogłam zmienić w pył ich byt, ale nie zrobiłam tego, okazując swoją łaskawość. Co chciałam, mogłam uczynić. Mrówcza boginka. Teraz byłam bezradna wobec bezlitosnego upływu czasu. A prawdziwy Bóg nie okazał się łaskawym władcą.

## Rozdział 5

Pogrzeb odbył się miesiąc od pamiętnej rozmowy. Upał przewyciężył nieśmiałość, rozlał się jak gorąca woda z kranu, parząc zebrany tłum. Koledzy profesorowie, dawni studenci, doktoranci. Każdy coś dziadkowi zawdzięcza. Ale największą dłużniczką pozostaje ja. Wypatruję znaku, jakiegoś sygnału, że już TAM jest. Dlaczego nie spadnie deszcz, nawet nie zawieje wietrzyk, nie mówiąc o lekkim kolorowym gościu... Czytałam niedawno piękną książkę o niewidomej staruszce, która tuż przed śmiercią ujrzała namalowane przez swojego kochanka obrazy. Czy dziadek zobaczył coś, zanim umarł?

Przyjmujemy rzekę kondolencji, ściskamy spocone dłonie, wymawiamy słowa podziękowań. Wreszcie zostajemy same. Babcia próbuje ułożyć kwiaty po swojemu a ja zapalam znicz. Och, ten zapach kwiatów, chyba lilii, kręci w nosie, aż w końcu kicham, kilkakrotnie, ściskając nogi. Szperam w torbie, ale nie znajduję już więcej chustek, babcia też zużyła cały ich zapas. Co tu robić? Nie mam wyboru, kapie mi z nosa, więc zdejmuję ramiączko stanika, potem drugie i rozpinam haftki. Wyjmuję biustonosz przez prawy rękaw sukienki i czyszczę w niego nos. Atrapę chustki chowam do torebki.

– Może chusteczkę? – Czuję się, jakby przelatujące nade mną stadko gołębi miało właśnie rozwolnienie. Nawet bym to wołała od spojrzenia i tonu głosu stojącego za naszymi plecami młodego człowieka.

– Dziękuję, już mi niepotrzebna. – Zgarniam babcie pod pachę i oddalamy się od usłużnego złośliwca.

– O Boże! Ale miał okularki. Chyba mniejsze od oczu. Żeby przez nie patrzeć trzeba użyć lupy! – Serio nie mam pojęcia, skąd się biorą na świecie takie cudaki? Żeby coś takiego założyć na nos?

– Lupy, powiadasz? – Czuję narastającą złość babci. – To był uprzejmy młody człowiek, a ty, ty jesteś impertyntką! Wariatką, która nad grobem... Nie do wiary... – Babci brak słów, żeby mnie zbesztać.

– Dziadek na pewno się nie obraził, a nawet przeciwnie, pewnie się uśmieł. Przecież nie miałyśmy już chustek... Nie gniewaj się, kochana... – Babcia opędza się i odwraca głowę, a ja i tak wiem, że się uśmiecha.

Postanawiam pomieszkać trochę z babcią. Filip nie odzywa się, choć minęły cztery dni od jego wyjazdu. Nie odbiera telefonu, w redakcji też nie mają żadnych wiadomości. Na co mi to było?

Potłuczony kubek stał się symbolem życia wewnętrznego kobiety takiej jak ja. Uznałam wówczas, że wszystkie bajki usłyszane w dzieciństwie kończą się za wcześnie. Oczywiście rozmawiałam o tym z Beatą.

– Czy zastanawiałaś się kiedyś, jakie życie wiódł Kopciuszek po ślubie ze swoim wymarzonym księciem? – spytałam.

– Wiesz przecież, że już dawno nie wierzę w szczęśliwe zakończenia.

– No właśnie. Dlaczego małym dziewczynkom wciska się taki kit... Jak skromna i pracowita panna poradziła sobie w ogromnym i obcym pałacu? Być może nadal pragnęła zapełniać wolne chwile pożytecznymi zajęciami, chociażby paleniem w licznych pałacowych piecach. Może jednak szybko przywykła do beztróskiego lenistwa i ograniczyła się do dysponowania rzeszą sług...

– Tak czy siak czekało ją wspólne życie z nieznanym facetem – skwitowała moja przyjaciółka.

– Ja Filipa poznałam aż za dobrze... I chyba w tym sęk...

– Chcesz powiedzieć, że on nie poznał ciebie tak dobrze, jak ty jego?

– Uhm... Gdyby mnie znał, nie zbagatelizowałby tego cholernego kubka...

– I oczywiście pobiegłby po truskawki na bazar, a nie do sklepu z mrożonkami? – przypomniała Beata.

Kiedyś, zimą, zachciało mi się świeżych truskawek. Filip kupił paczkę mrożonych owoców i zaserwował na deser wymieszaną z cukrem papkę.

– Właśnie, że tak... A pamiętasz naszą wyprawę do tej knajpki? – drążyłam dalej.

– Żaliłaś mi się wtedy na jego ślepotę wybiórczą. Twierdziłaś, że nie dostrzegł ulicznej kwiaciarki...

– Bo spontaniczne obdarowywanie kwiatami to już nie na tym etapie znajomości?

– Trzeba było mu o tym powiedzieć. Aldonko, ONI naprawdę są z innej planety!

– Pewnie masz rację... – zgodziłam się.

Po co więc pakuję się ponownie w ten układ? Bo zrozumiałam, że byłam despotką. Despotką w sferze miłości, rzekłby Balzak.

## Rozdział 6

Lubię posiedzieć w ogrodzie, tak jak kiedyś w towarzystwie dziadka. Długie rozmowy z babcią należały do rzadkości, zawsze dużo chętniej rozsiadałam się na kolanach dziadka, by trajkotać do ucha dziewczęce rewelacje. Ześlizgiwałam się później na stopę i prosiłam o bujanie, a dziadek poruszając nogą, niezmiennie nucił: „Patataj, patataj pojedziemy w cudny kraj...” Na pytanie, gdzie znajduje się ta cudowna kraina, miał jedną odpowiedź: „Jak to, nie wiesz? Na łące. „ Szliśmy później na łąkę po świeży mlecz dla świnki morskiej i polne kwiaty do wazonu. Tych rosnących w ogrodzie nie wolno było zrywać... Tak, ogród to królestwo babci, panuje w nim niepodzielnie, skutecznie wojując z wszelkimi wrogami zagrażającymi jej pupilom. Nawet krety rujnujące posesje sąsiadów, drążąc swe zawile korytarze, potulnie respektują granice babcinego ogrodu. Rozglądałam się w poszukiwaniu właścicieli delikatnej woni. A, tu jesteście moje śliczne dzwoneczki. Rzeczywiście, po co zrywać kwiaty, kiedy tu w ogrodzie żyją dłużej, ciesząc nasze zmysły.

– O czym tak dumasz? – Babcia obejmuje moje plecy, kładzie na nich głowę.

– O kwiatkach i takich tam bzdurach... Odpycham w kąt te o Nastce i prababce.

– Jeszcze nie zdecydowałaś, czy go otworzysz? – Kuferek został w moim mieszkaniu.

– Ja wiem, że to zrobię, tylko... biję się z myślami. Po prostu nie mogę uwierzyć, że zwyczajnie zabiła... Boję się, że znajdę tam dowód... I stracę resztkę nadziei, a nie chcę tego, rozumiesz, babciu?

– Twoja mama znalazła kuferek zupełnie przypadkiem... – Odwracam się twarzą do babci.

– Moja mama wiedziała!? – Wyobrażam sobie dłoń przekręcającą mały kluczyk. – Powiedzieliście jej o tym?

– Niestety, baliśmy się ją przerazić, a potem... Ona wiedziała swoje, nie docierało do niej, że chcieliśmy jak najlepiej... Obwiniała nas o oszukiwanie jej przez całe życie, bardzo zmieniła się od tamtej pory. – Teraz zaczynam rozumieć milczenie dziadków. Cóż mogli powiedzieć o mamie, pomijając tanto nieszczęście. Byli w pętli i jak potwornie musieli się bać, że stracą i mnie.

– Kochana... – Idziemy do naszej altanki, obie przejęte rodzącą się pomiędzy nami czułością, jaka może łączyć tylko matkę z córką. Aby tego dokonać, musiałyśmy wykonać skok międzypokoleniowy, pozostawiając za sobą zorane pole, na którym kiedyś wzejdą zasiane właśnie nasiona.

Wreszcie zadzwonił Filip. Po pięciu dniach milczenia w końcu wykręcił numer do.... No tak, przecież nie wiedział, że zostanę u babci. Rozmowa się jednak nie klei. Ledwo słyszę pojedyncze słowa.

– Dobrze, pomyślę o telefonie. – Obiecuję do słuchawki, nie mając pewności czy Filip w ogóle mnie słyszy. – A kiedy będziesz?... Jak nabierze sił?... Ruda?... Śliczna?!

Nie wiem, co myśleć. Omal nie przejechał jakiejś rudej ślicznotki, potem zawiózł ją do szpitala, nie mógł jej tak po prostu zostawić na ulicy. A teraz czeka, aż jej stan się poprawi. Po co mi komórka, skoro i tak nie można się zrozumieć?

– Czy to przypadkiem nie Filip? Rozpoznałam ten głos. – Przenikliwe spojrzenie wwierciło się we mnie, wysondowało, co chciało, więc przyznałam się do wszystkiego.

– A teraz znowu przeżywam męki. – Zakończyłam rozszalona urywaną rozmową z Filipem.

– Naprawdę bardzo go polubiłam. Cieszę się, że próbujecie się znowu dogadać. Wy, młodzi, marnujecie tak dużo czasu... – Babcia zamyśliła się.

– Wy z dziadkiem nigdy się nie kłóciliście, to prawda.

– Czasami mieliśmy różne zdania... Najczęściej w kwestii wychowania Asi, a potem ciebie.

– Pewnie obie byliśmy trudne?

– Niezupełnie. Twoja mama zawsze na wszystko się zgadzała, a martwiło mnie, że nie potrafi postawić na swoim i jest taka bezkrytyczna wobec ludzi. Dlatego gdy runął jej wyidealizowany świat, musiała szybko i nagle dorosnąć. I wybrała drogę buntu. – Babcia patrzy na mnie zatroskanym wzrokiem. – Za to ty już jako roczne dziecko manipulowałaś nami. Mając cztery latka, postanowiłaś iść do przedszkola i stanąć na głowie, ażeby tak właśnie się stało. Lubiałaś się stroić, a ja niektóre sukieneczki trzymałam na szczególne okazje, tak zwane „wyjścia”. Pewnego dnia stanęłaś przed nami ubrana w jedną z tych sukienek i oznajmiłaś: „ja chcę wyjść do przedszkola”. Bardzo lgnęłaś do dzieci, szybko polubiłyście się z Beatką... Żał było patrzeć, jak ta mała chorowała.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, w jakim jest stanie. Ona do tej pory chodzi na kontrole, boi się nawrotu, musi z tym żyć. Boże, to dużo gorsze...

– Masz rację, to, co przeżywa Beata, jest nieporównywalne z niczym.

Czuję pokusę, jakiej dotąd nie zaznałam. Chyba tylko Ewa z raję zrozumiałaby mój pęd do nieznannej przeszłości niewolonej w wyblakłej walizeczce.

– Chcesz, to pojedź do siebie... – A jednak i babcia podziela moje myśli.

– Mam najcudowniejszą babcie na świecie. Zadzwoń, gdy dojadę.

– Będę czekała cały czas. Możesz wrócić w każdej chwili, pamiętaj...

Ściskamy się połączone nitką tajemnicy. Niedługo i ja pochwycę drugi jej koniec.

Wychodząc z domu babci, zauważam stojący na poboczu wóz. Włączone reflektory uniemożliwiają wypatrzenie kierowcy. Dziwne, najbliższy dom stoi jakieś dwieście metrów dalej. Troszkę uspokaja mnie fakt, że ruszył zaraz za mną, Zresztą złodzieje nie byli aż tak bezczelni? Jadę spokojnie, starając się nie myśleć o kuferku, zdaję sobie sprawę z własnego podniecenia. Jednak wyobraźnia podsuwa wciąż nowe pomysły. Widzę siebie wyjmującą z jego wnętrza pomięte, pożółkłe ze starości fotografie... Kogo lub co przedstawiają? To znów fantazja podpowiada mi ponury obraz, w którym wyjmuję dziewczęce sukienki, zakrwawione, nieme,

mówiące same za siebie. A może znajdę wycinki ze starej prasy dotyczące procesu?

Może muzyka uspi rozpędzoną lokomotywę domysłów. Puszczam więc jedyną kasetę, jaką wożę. Julee Cruise i jej ścieżka dźwiękowa do słynnego „Miasteczka Tvean Peaks”. Film mnie wciągnął, ale gdy usłyszałam muzykę... Słucham jej do dziś. Autko zgłodniało, więc skręcam do najbliższej stacji. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszystkie naraz muszą być samoobsługowe. Zaraz się do czegoś dotknę i upaćkam. Potem jeszcze wędrówka do kasy, zamykanie, otwieranie auta... Po powrocie od kasy zerkam na wóz stojący za moim. Te charakterystyczne światła, czyżby zbieg okoliczności?

Wsiadam i przekręcam kluczyk, zerkam we wsteczne lustro i przez moment błysku, chyba zapalniczki, widzę oczy pasażera samochodu, a właściwie okulary na oczach, tak małe... Jezu, to ten sam facet z komentarza!

A może to tylko podobne okulary? Pewnie w tej chwili na topie. Zwykły zbieg okoliczności. Na pewno.

Po pięciu minutach świecą znajome reflektory. Nie jestem zdenerwowana, to mi się tylko wydaje. Po co miałby mnie ktoś śledzić? Aby udowodnić sobie, że wcale się nie boję, nastawiam głośniejszą muzykę. Przecież to był tylko film, mordowano w nim jakieś dziewczyny, nawet nie wiem dlaczego, bo nie śledziłam wszystkich odcinków. Nie jestem ani piękna, ani bogata, to musi być czysty przypadek... A jednak sięgam do wyłącznika, zwyczajnie potrzebuję ciszy. Gdzieś tu musi być jakiś posterunek, to spore miasteczko. Tylko podjadę i postoję, zobaczę, co zrobisz „Okularniku”?

Jak na złość nigdzie nie widzę nawet pół policjanta. O, postój taksówek. Uchylam szybę i zagaduję kierowcę.

- Proszę pana, ten samochód mnie śledzi!
- Oglądam się, by wskazać winowajcę mojego lęku, ale on znikł.
- Wskakuj do mnie, panienko, ja cię obronię...
- Tak zbereźnego uśmiechu nie posłałby sam prezydent do swojej ulubionej stażystki.
- Ty draniu, opiszę cię, już notuję numery... – Na wszelki wypadek odjeżdżam z piskiem.

Poza tym, że przydałby się rozluźniający masaż, tabletki Relanium i coś mocniejszego, nie potrzebuję niczego... Parkuję na zwykłym miejscu, rozglądając się za obcym autem, wysiadam i biegnę do klatki (może już czekać wewnątrz), ściągam windę (może się za mną wślizgnąć do środka), maszeruję do schodów (jest pewnie za tymi drzwiami). Odgłos otwieranych drzwi jest tą kropelką, która oddziela histerię od oszalenia ze strachu. Zaczynam swój krzyk lub jak kto woli wrzask.

- Cicho, wariatko! – Dociera do mnie jeszcze głośniejszy pisk Beaty.

W ten sposób witam ją pierwszy raz. Wprost rzucam się z pocałunkami. Ciekawscy sąsiedzi, którzy wietrzą sensację, wreszcie mają o czym mówić i pewni co do naszej orientacji przymykają drzwi. Teraz i oni nie usną spokojnie, ale ze mnie egoistka.

- Jak dobrze, że już wróciłaś. Tak strasznie się boję! – Pakuję się do mieszkania przyjaciółki.

Z najbardziej upragnionych trzech rzeczy otrzymuję wódkę. O, teraz mi lepiej. Zdaję relację z ostatnich przeżyć osobie obiektywnej.

– Co za idiota! Łobuz! Jedziemy na policję. Teraz przynajmniej nie jesteś sama.

– Zastanów się, nawet nie znam marki tego samochodu. Nie mówią o kolorze i numerach. Wyśmieją nas. – Staralam się myśleć logicznie.

– Masz rację. Dzisiaj śpisz u mnie, a jutro coś postanowimy. – Nie protestuję, może rankiem inaczej na wszystko spojrzę.

– Beata, wiesz, że dziadek zmarł... Kilka dni temu odbył się pogrzeb. – Oczy Beaty natychmiast wilgotnieją.

– Przykro mi, że nie byłam z tobą... Jak to się stało?

– Dokładnie tak jak zaplanował. Zabrał do łóżka szpilkę i w czasie snu przekłuł balonik serca. Przynajmniej ja tak uważam...

– Może masz rację. Był taki nieszczęśliwy, od kiedy nie widział, przestał walczyć.

Jako dwie małe dziewczynki, potem nastolatki i młode kobiety wiele nauczyłyśmy się od mądrego człowieka. Teraz czujemy podobnie. Jakbyśmy straciły ojca.

Szykujemy łóżka, kąpiemy, myjemy zęby, robimy wszystko, żeby usnąć jak grzeczne dziewczynki. Ale sen nas nie chce.

– Beata, śpisz?

– Nie, nie mogę...

– Przypomniałam sobie coś. Wydaje mi się, że ten facet był na pogrzebie. – Opowiadam o okolicznościach, w których się spotkaliśmy, a w odpowiedzi otrzymuję histeryczny śmiech, do którego przyłączam się i ja. Widocznie naszym organizmom brakowało tlenu, bo po chwili nie mam siły spytać, czy już śpi.

A we śnie płaczę. Razem z brzoźami, wierzbami i akacjami. Tylko drzewa płaczą liśćmi zeschniętymi, jesiennymi może, a ja łzami. Kroplami, które opadają na ulicę miasta. Ludzie po nich chodzą i nawet nie wiedzą, że to kałuże z moich łez.



## Rozdział 7

Poranek budzi mnie zapachem kawy, cichą muzyką z radia i... walnięciem poduszki.

– Wstawaj, śpiochu! Już sprawdziłam, na parkingu nie ma samochodu z włączonymi światłami, ani facecika w małych okularach, ani taksówkarza-świntucha. – Bardzo śmieszne.

– To poszukaj jeszcze starego niebieskiego opła. – A jednak na niego czekam.

– A po co? – Ale na wszelki wypadek wygląda przez okno. – Jest! Stoi na wjeździe blokując innych.

Wyskakuję spod kołdry, ale roześmiany buziak Beaty zdradza podstęp.

– Oszukałaś mnie, ty podstępna wiedźmo...

– Zaraz, zaraz, stary niebieski opel? Kogo nam to przypomina? Czyżby Filipek wyskoczył z konopii? Ja przy tobie nie mam szans, już od wczoraj chciałam ci się zwierzać, a nie mam kiedy. Myślę, kombinuję, żeby nie wyskoczyć ze swoim fartem, bo ty taka biedniutka... A tu taka rewelacja! – Typowy nos na kwintę. Trudno, posłodzę jej kawę. W ramach skruchy.

– Błagam, wybacz... No gadaj wreszcie, wstrętne babo! Poderwałaś cały turnus? – Po minie Beaty orientuję się, że przeżyła coś ważnego.

– Taak, nawet dwa. Jeden się kończył, a drugi zaczynał. – Beata droczy się ze mną.

– Nie widzisz jak mnie skręca?

– No dobrze, powiem wprost. On ma córkę. Ośmioletnią. I właśnie z nią spędzał wakacje.

– W maju?

– Tak, mała jest niegłupia. Trafili okazję z ostatniej chwili, a była żona nie stawia się.

– Jak wygląda? Ile ma lat? Mów coś. – Niecierpliwie się.

– Jest starszy od nas o dziesięć lat. Roztacza wokół siebie dobrą i ciepłą aurę...

Rozmawialiśmy ze sobą jak starzy dobrzy znajomi... O wszystkim, o moich kontrolach również. Jak mnie zechce, to się odezwie...

– Co to znaczy: „jak mnie zechce?”. Umówiliście się?

– Nie mówiliśmy tylko o przyszłości. Dopiero poznawaliśmy się. To pierwszy mężczyzna, który mnie słuchał... Jeśli będzie mu zależało, to mnie odnajdzie. Zna moje nazwisko. Tym razem muszę mieć pewność.

– Przyznaję, że masz dużo racji, ale dlaczego nie wymieniliście adresów? Po co tak utrudniać sobie życie? Samo nazwisko to za mało, ty wiesz, ile jest Beat Stawińskich w Warszawie? A czy on przynajmniej wie, że jesteś z Warszawy?

– Wiem, że nie znajdzie mnie w książce telefonicznej. Zresztą mówiłam, że wynajmuję mieszkanie. Jeszcze raz ci powtarzam, muszę mieć pewność.

– A nie wspomniałaś mu o mnie? Mógłby mieć jakiś trop?

– Posłuchaj, uparciuchu, jak zechce, to znajdzie. Kropka.

– A ta córeczka, jaka ona jest?

– Słodka. Rezolutna ponad wiek. Nie przemądrzała, tylko mądra. Drobną blondyneczką, uczy się w szkole muzycznej, gra na skrzypcach. Zresztą jest wybitnie uzdolniona w tym kierunku, słyszałam, jak gra, aż dech zapiera. – Na twarzy Beaty dostrzegam uczucie dumy pomieszanej z rozczuleniem.

– Chciałabym, żeby dał znak, poszukam czterolistnej koniczyny, żeby to marzenie spełniło się... Dzięki za nocleg, muszę pójść do siebie.

– Na wszelki wypadek pójdę z tobą. Sprawdzamy drzwi. Nietknięte. Mam nadzieję, że wczorajszy żartowniś spędził dzisiejszą noc na bruku, a teraz czeka w kolejce do kręgarza samozwańcy, który pogruchoce mu kości. Babcia nagrała na sekretarkę wiadomość: „Jeśli wczoraj się nie dodzwoniłaś, to przepraszam. Wzięłam na sen. Dzisiaj ty wysłałaś bardzo wcześnie. Pa”.

Natomiast nie ma wiadomości od Filipa. Bardzo dziwne. Zjadam śniadanie, rozmyślając już zupełnie o czymś innym. Poddaję się ogarniającej nostalgii za tym, co już nigdy nie wróci, oglądam się tak daleko, by spotkać Nastkę i może ujrzeć cudownego motyla... Tak, już czas.

Wyjmuję kuferek, cierpliwie koczujący pod moim łóżkiem, wkładam kluczyk w maleńki zameczek, unoszę wieczko i... Spoglądają na mnie zielononiebieskie błyszczące kamyki, oprawione ciemnymi włoskami rzęs. Lekko zadarty nosek i usta z wydętą dolną wargą nadają twarzyczce wyraz rozgrymaszonego dziecka. Długie, jasne włosy opadają warkoczem przewiązany zieloną tasiemką. W tym samym kolorze z mnóstwem falbanek i koronek jest suknia. Jest to niewątpliwie zabytkowa lalka przeznaczona dla panienki z wyższych sfer. Myślę, że jej ojczyznę może być Francja lub Anglia i na pewno nie mogła należeć do ubogiej, wiejskiej dziewczynki, jaką była Nastka. Czyja byłaś, pięknotko?

Zaglądam ponownie do kuferka i wyjmuję z niego bury brulion. Cienkie jak bibułka, ponadrywane kartki tworzą całość. Przewracam delikatnie zapisane dziecięcym, ale starannym pismem stronicę, gdzieś stwierdzam wypasione kleksy, brak jakichkolwiek dat... A jednak to pamiętnik. Każdy nowy zapisek rozpoczynają te same słowa: „Posłuchaj, Alali”.

– Alali. – Wypowiadam głośno. – Czy to twoje imię, laleczko?

## Rozdział 8

U dołu ponadrywanej pierwszej strony widnieje napis: Należy do Anastazji Kołacz. To z pewnością własność Nastki, siostry mojego dziadka. Czy dziewczynka pisała swój pamiętnik do chwili, gdy umarła?

Teraz są znowu razem, czy powinnam zatem czytać te mozolnie kreślone litery? Dziadek zapragnął, bym dowiedziała się, jak wspaniałą istotą była Nasika, twierdził, że zasłużyła na pamięć. Jednak moja matka po tej lekturze bardzo się zmieniła... Trudno, podejmuję się zadania, pomimo wszystko...

„Posłuchaj, Alali.

Piszę do ciebie, bo jesteś najpiękniejsza na całym świecie. Kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz, to od razu poznałam, że to ty. Alali, rybacka córka.

Wiem, nie jesteś moją, ale mogę na ciebie patrzeć, kiedy tylko zechcę. Panienska Julita obiecała. A ona dotrzymuje raz danego słowa. Mówiła, że nauczy mnie pisać i czytać i nauczyła. W szkole pani nachwalić się nie mogła. Pójdę teraz z Marcysiem do starej Mateuszowej i poproszę o bajkę o tobie, może opowie?”

Pierwsza notatka. Alali, rybacka córka? To imię z jakiejś baśni... A lalka rzeczywiście nie należała do Nastki.

Kim była panienska o imieniu Julita? Anastazja przychodziła do jej domu, by popatrzeć na swoją wymarzoną lalkę. To panienska Julita nauczyła Nastkę czytać i pisać. Marcys to dziadek... Jak bardzo żałuję, że nie opowiedział mi o swoim dzieciństwie, że nie zdążył... Już nie dowiem się, kim była stara Mateuszowa... Może bajarką wiejską?

„Posłuchaj, Alali.

Wiem, że twoje oczy to drogie kamienie. Dlatego mamusia nie może ciebie kupić. Jesteśmy za biedni. Ale i ty byłaś biedniutka, aż spotkałaś księcia. Kiedyś i ja spotkam księcia, co mi podaruje pierścień. Dzisiaj dostałam jabłko od pana Leopolda, ale dałam zjeść Marcysiowi, bo on jeszcze mały”.

Biedna mała wyobrażała sobie życie jak z bajki. Jabłko oddała bratu... Może nie była głodna?

Akurat! Jedno jabłko podarowane przez jakiegoś pana Leopolda. Trudno dziś sobie wyobrazić, jaką wartość stanowiło jedno jabłko. Nastka doskonale zdawała sobie sprawę z biedy swojej rodziny. I marzyła o księciu z bajki... Czy wszystkie dziewczyny, bez względu na epokę, w której przyszło im żyć, wyobrażają sobie siebie unoszone na białym rumaku ku lepszemu życiu?

„Posłuchaj, Alali.

Mamusia nie chciała bić. To moja wina, bo na śmierć o Marcysiu zapomniałam. On mógł nawet umrzeć, a ja byłam u ciebie. Panienska Julita pozwoliła mi ciebie dotknąć. Masz taką

miękką sukienkę. Dobrze, że wyrzuciłaś łachmany, po co ci one w pałacu. Teraz Marcyś śpi bezpieczny. Mamusia musiała pójść do pracy, bo za to mamy co jeść. Ty nie czujesz głodu, prawda? Tobie to dobrze”.

Coś złego spotkało dziadka. Dlatego Nastka dostała lanie. Starsze rodzeństwo od zawsze musiało pilnować młodsze dzieciaki. Ciekawe, co to było, dziadek nigdy nie wspominał?

Czyżby zataił to wszystko ze względu na matkę? I dlatego puścił w niepamięć siostrę, która mu matkowała? Nastka była starsza od dziadka zaledwie o trzy lata... Przecież była jeszcze małą dziewczynką... Dzieckiem mającym prawo do bez troski i szczęśliwego dzieciństwa, matczynej opieki... Boże, co ja mówię. Przecież matki bywają różne.

„Posłuchaj, Alali.

Chciałabym być tobą. Tak bardzo chce mi się jeść, że ledwo ze szkoły się do domu przywlokłam. Namoczyłam już chlebek, to zjemy z Marcysiem. Może Bozia nie pogniewa się, że z worka dla zwierząt wybrałam. Starsza pani ze dworu wygoniła mnie od ciebie. Ona powiedziała, że jeszcze coś ukradnę. Pan Leopold dobry, tylko on mnie głaszczę”.

Mała Nastka musiała sama zdobywać jedzenie. Dlaczego? Gdzie przez cały czas była matka? Jaką trzeba mieć wyobraźnię, żeby do lalki pisać i to w dodatku cudzej?

Lekturę przerywa telefon.

– Dobrze, przyjadę. Będę za godzinę, poczekasz? – Koleżanka z redakcji wyszperała dla mnie informacje o pewnym zakładzie karnym. To w nim prababka odsiadywała karę. Powoli opuszczam życie Natki. Niedługo wrócę, maleńka!

## Rozdział 9

Do redakcji wpadam nieco spóźniona, ale Ninka czeka. Wie, jakie to dla mnie ważne.

– Dzięki z całego serca! Nie wiedziałabym od czego zacząć poszukiwania, mój ty detektywie.

– Już ci mówiłam. Byłam tam kiedyś w związku ze sprawą seryjnego mordercy i... Pozostawiłam po sobie miłe wrażenie. Postaw mi kawę, a będziemy kwita.

Siadamy w pobliskiej kawiarence, przy oknie. Chyba każdy żurnalista lubi obserwować ludzi. Tym razem upatrzyłyśmy sobie młodą dziewczynę czekającą na autobus.

– Widzisz różę? Pewnie ją ukradła ulicznej handlarce i wręczy mamusi na imieniny. – Ninka rozpoczyna ulubioną zabawę w dopisywanie życiorysów. Nie mam wprawdzie nastroju na żarty, nie chcę jednak jej urazić.

– Coś ty, różę kupiła sobie sama, a teraz udaje obdarowaną. Widzisz tamtego chłopaka? Zerka na niego ukradkiem, może to w nim zamierza wzbudzić zazdrość? – Podejmuję grę.

– Dobrze, twoja historyjka jak zwykle lepsza... A właśnie przypomniałam sobie, że pytał o ciebie chłopak, młodziutki... – Koleżanka udaje zgorzowaną.

– Kiedy to było? – Siłę się, by wypaść obojętnie.

– Jakieś trzy, cztery dni temu. Powiedziałyśmy, że jesteś na urlopie. Gdy Jola dorzuciła żartem, że jest do usług, strasznie się zmieszał, aż zdjął z nosa takie małe śmieszne okulary i zaczął je wycierać. W ogóle zachowywał się dziwnie, jakby spadł z księżycy. Chciał wiedzieć, czy wydałaś już coś.

– Powiedziałyście mu? – Próbuję mówić spokojnie, ale chryпка psuje mi szyki. – Podałyście tytuł?

– Oczywiście, że podałyśmy, Niech kupi ten zbiorek i poczyta sobie... Nie zachowuj się jak jakaś smarkatka, przecież dzisiaj w modzie takie związki... No wiesz, że sporą różnicą wieku.

– Nie piernicz, Ninka! To jakiś cholerny zboczeniec, prześladowuje mnie od pewnego czasu... Odważył się nawet przyjść na pogrzeb, ale co tam, „dzisiaj w modzie takie związki”. – Chrypnę kompletnie, naśladowując głos Niny.

– Jezusieńku! Dobrze, że nie dałam adresu. Zgłoś się na policję, może jest w kartotece... Słuchaj, on nawet tak dziwnie mówił, jakby chciał zmienić głos... Ale numer! – Podniecenie rośnie.

– Przystań się napędzać. Pamiętasz, czy przedstawił się?

– Mnie nie, ale może innym... Mam pomysł, napisz do niego list otwarty, ten szajbus pewnie czyta naszą gazetę.

– Nie chcę tego rozgłaszać, rozumiesz? Przyrzeknij, że nie wygadasz nikomu. – Przesadzam mniej więcej o dwa tony.

– Nie chcesz, to nie. Dotrzymuję obietnic. – A jednak ją uraziłam. Teraz ze skwaszoną miną przypomina Alali.

Rozstałyśmy się pogodzone. Kosztowało to wprawdzie dwa drinki i obietnicę informowania na bieżąco, ale warto było. Ninka jest uczynną dziewczyną i ma bardzo mocną głowę. Ja po dwóch szklaneczkach nie trafiłabym do domu.

Dowiedziałam się również, że wywiady Filipa już dotarły, zaś on nie kontaktował się osobiście z redakcją.

Czy to, co się zdarzyło przed wyjazdem Filipa było ważne? Być może to taki żart z jego strony, pomysł na przespanie się z kobietą ... Przecież znam go tak długo, więc wiem, że nie rzuca słów na wiatr. Tym bardziej nie rozumiem tej sytuacji, jego tajemniczego milczenia.

Powróciliśmy do siebie tak samo naturalnie, jak się rozstaliśmy. Dla mnie luka czasowa, kiedy nie byliśmy razem, natychmiast przestała się liczyć. Uwierzyłam, że szkoda marnować więcej czasu bez siebie. Zrozumiałam, jak ważne w związku dwojga ludzi są słowa wypowiedane głośno. Postanowiłam nie karać go za to, że przybył z innej planety, a swoje życie wewnętrzne trzymać w ryzach. Czyżby wszystkie moje postanowienia wzięły w łeb? Czy to możliwe, że prościej jest wyhodować drzewo w tunelu? Tylko po co? Żeby nie mieć się nim komu pochwalić?

## Rozdział 10

Stoję w korku i chce mi się siusiu, a właściwie siukawasiu. Mam dwie możliwości, albo zdążę albo nie. Przez ulicę przechodzi para. On z futerałem (chyba) na klarnet, ona na skrzypce. Zatem gdzieś w pobliżu musi być szkoła muzyczna... Bez sensu, przecież nie będę pytać każdej blondyneczki: „Byłaś, skarbie, na wycieczce z tatusiem?” Ile może być szkół muzycznych w Warszawie? Nie mam pojęcia, ale muszę coś wymyślić, koniecznie.

Zdążyłam, jeśli chodzi o toaletę, natomiast telefon dzwonił zbyt krótko, bym bez rolek na nogach miała szansę go odebrać. Oczywiście ktoś nie raczył nagrać paru słów. Domyślam się kto. A niech tam robi sobie, co chce z tą swoją „Rudą” i da mi święty spokój!

Postanawiam na gorąco załatwić sprawę szkoły muzycznej.

– Cześć, Rafał, wiesz może, ile jest... Co?... Z jakim gówniarzem? No to dzięki za pomoc. – Właśnie doświadczam na własnym uchu, co to znaczy urazić męską dumę. Oj namieszaleś „Okularniku”! Ostatecznie istnieją jeszcze książki telefoniczne. Zadowolona z odkrycia rzucam się na łóżko, obok Alali.

„Posłuchaj, Alali.

Nie bądź głupiutka. Ty też byłaś zamknięta w lochu, pamiętasz? Mateuszowa płakała, jak mi o tym opowiadała. A ta piwnica jest dużo lepsza od lochów. Nie bałam się tak bardzo. Mamusia szybko otworzyła. Pan Leopold już nie taki dobry jak kiedyś, pomyliłam się. To przez niego Marcyś płakał. Jak do ciebie pójde, to poskarżę się panience albo jej matce. Tylko teraz to mi zimno. Gdzie mamusia?”

Pismo w tym miejscu jest mało czytelne. Może Nastka dostała gorączki? Żeby małą zamknąć w piwnicy? Jak można być taką sadystką?

„Posłuchaj, Alali.

Teraz już mi dobrze. Mogę na ciebie patrzeć do woli. Tak powiedział pan Leopold. To taki nasz sekret. On jest znowu miły i obiecał mi ciebie. Tak naprawdę powiedział, że mi ciebie kiedyś podaruje.

Już nie mogę doczekać się, Mamusia śpi, wciąż ją brzuch boli”.

No i dobrze, że boli. Nastka tak się nią przejmuje...

„Posłuchaj, Alali.

Mamusia jest chora. Była u niej Wiedźma, a mnie i Marcysiowi kazała w pole iść. Znalazłam cztery listki i pomyślałam, żeby mamusia zdrowa była. Nie gniewaj się, kochana Alali, ciebie i tak pan Leopold mi obiecał, a mamusia taka chora”.

Nie podoba mi się ten pan Leopold...

„Posłuchaj, Alali.

Nie miałam atramentu i nie pisałam długo. Pan Leopold dał pięć groszy, to kupiłam. Pan powiedział, że mamusia będzie zdrowa, a ona ciągle śpi. Nie wychodzi z domu prawie wcale, tylko oczami przewraca tak dziwnie. Jestem głodna, Alali. Już bym chciała tobą być, na zamku mieszkać i najeść się do woli. Marcyś po sąsiadach chodzi i coś tam do jedzenia dostaje. Takiemu małemu to starcza. Może pan Leopold coś przyniesie?”

Co tam się działo? Może prababka miała cukrzycę, a może ćpała?

„Posłuchaj, Alali.

Plakałam całą noc. Nikt nie słyszał mojego wołania. Mamusiu, ja nie chcę na TO patrzeć, ani TEGO dotykać. Uratuj mnie, Alali!”

Czuję, że to „miły” pan Leopold robi jej krzywdę. Mamusiu, obudź się! Już za ślepotę powinni cię ukarać.

Przypominam sobie o papierach od Ninki. Nie znajduję konkretnych informacji, danych osobowych. Więźniowie w niemalże stu procentach wywiezieni zostali do obozu zagłady. Nieliczni pracują przy pacyfikacji. W 1944 AK odbija kilkuset eskortowanych więźniów przewożonych do Biłgoraju. Nigdy nie byłam dobra z rachunku prawdopodobieństwa, ale zdaję sobie sprawę z szans na przeżycie jednej osoby. Czy w ogóle możliwe będzie dokopanie się do jakichkolwiek nazwisk?

Cokolwiek zrobiła, poniosła karę. Jeśli nawet nie zginęła na miejscu, podczas zajmowania więzienia, to w obozie, jestem pewna. Szwabska administracja była prosta i skuteczna. Dzwonek do drzwi odrywa mnie od utyskiwań i chwilowo zwalnia z osądzania prababki. Już mam otworzyć, jak zwykle bez sprawdzania kto, gdy przypominam sobie o Okularniku. Czy od teraz będę się bała?

– Otwieraj, grzeczna dziewczynko! – Zadowolona z mojej ostrożności Beata głaszcze mnie po głowie. – Widzę, że wreszcie zamykasz drzwi i spoglądasz przez wizjer, widziałas go dzisiaj?

– Nie, ale dowiedziałam się, że był w redakcji.

– Po skończonej opowieści słyszę krótkie i dosadne słowo.

– Właściwie to ja przyszedłam z niespodzianką...

– Nie pozwalałam jej skończyć:

– Odezwał się znajomy z Tunezji?!

– Nie. Patrz! – Beata wyjmuje z torebki kasetę i lokuje ją w magnetowidzie.

Oglądam warsztatową wersję wymyślonej przez Beatkę reklamy. Jest tak, jak opowiadała, elegancka kobieta długo ogląda wóz, po czym stwierdza, że: „Do niczego nie może się przyczepić”. Całość ekstra. Naprawdę dobra. A mnie rozpiera duma. Otwieram okno i krzyczę ile sił.

– Beata Stawińska jest geniuszem, a ja jestem...

– Dłoń przyjaciółki o mało nie wybija mi zębów.



– Nie wrzeszcz, bo w końcu zamkną cię do czubków. – Zapomniałam o wczorajszej akcji przy windzie. Ja to ja, ale mogą wymówić Beacie, przecież to ja ją poleciłam wynajmującym mieszkanie sąsiadom.

– Przecież to dopiero propozycja. Nie wiadomo czy spodoba się zleceniodawcy...

– To kiedy będziesz wiedziała?

– Jutro, najpóźniej pojutrze. Inni też coś przygotowali.

– No to trzymam kciuki. – Tak bardzo bym chciała, żebyś odniosła sukces.

– Nie ruszaj się! Coś ci łązi po włosach. – Zanim orientuję się, o co chodzi, gazeta z programem łąduje na mojej głowie. Dosłownie w ostatnim momencie przed dobieciem intruza wydaję okrzyk.

– Przestań! To chrabąszcz. Nie zabija się chrabąszcza, ja w ogóle zapomniałam o ich istnieniu. Ale mi głupio, biedny, maleńki. A może jedźmy z nim do weterynarza... Może leczy się chrabąszcze? – Beata szczerze żałuje usiłowania zabójstwa.

– O, poruszył nóżkami... Może przeżyje... Biedactwo, pewnie wylądował na mnie, gdy krzyczałam przez okno. Pamiętasz, jak łąpałyśmy je do słoika? – Rozczulałam się na wspomnienie dziecięcych lat.

– A pamiętasz nasz akt zemsty na Piotruku? – Beata najwyraźniej ma ochotę powspominać.

Jakże mam nie pamiętać? Zakochałyśmy się w nim jednocześnie. Postanowiłyśmy rozstrzygnąć sprawę w prosty sposób. Niech on zdecyduje, którą z nas woli. Przygotowałyśmy dla oblubieńca prezenty, które on łaskawie przyjął od nas, siedząc na drzewie. Beata, obdarzona trzema braćmi, podebrała im samochodzik, resorak kupiony w peweksie... Ja wybrałam gumkę do wycierania ołówka. Dziadek dostał ją od jakiegoś studenta w prezencie i bardzo ją lubił. Pomyślałam, że Piotrek doceni jej walor zapachowy albo kolorystyczny...

Nie zastanawiał się długo, który prezencik wybrać. Po chwili gumka poszybowała przed naszymi nosami prosto na ulicę. Właściwie to mi ulżyło, mogłam przynajmniej zwrócić ukradziony przedmiot – miot. Pobiełam w kierunku, w którym leciała gumka i z przerażeniem stwierdziłam, że wpadła prosto do studzienki kanalizacyjnej. Rozpłakałam się, a łzy popłynęły w ślad za nieszczęsną gumką, przez żeliwną kratę osłaniającą wlot czarnej dziury. Moja przyjaciółka sądząc, że rozpaczam po stracie chłopaka, pocieszała mnie jak umiała.

– On jest głupi. Już nie chcę być jego dziewczyną... Chodź, nabieramy chrabąszczy i wrzucimy je przez okno do jego pokoju.

Obie wspominając tamten czas, czujemy przyływ mokrych kropel... Na znak tęsknoty za tym, co nigdy nie wróci.

Układam chrabąszczyka w pudełku po zapalkach i ustawiam przy otwartym oknie. Niech sam wybierze, gdzie chce być.

– Myślisz, że odleci? – Pyta z nadzieją Beata.

– Nie wiem. Może tu zostać, jak zechce... Dowiem się, co jedzą chrabąszcze, może muchy? Tych mu nie zabraknie.

Na pożegnanie Beata wyciągnęła z kieszeni pojemniczek.

– Weź to, będę spokojniejsza. Mnie niepotrzebny. – Oglądam, nie mogąc się nadziwić. Gaz pieprzowy.

– Dzięki, może się nie przyda. – Chowam „dezodorancik” do torebki. Może Okularnik dał sobie spokój? Może rzeczywiście spodobałam się smarkaczowi, takie rzeczy się zdarzają. Dostanie odprawę przy pierwszej okazji i po sprawie.

## Rozdział 11

No, moja Alali, co u ciebie słyhać? Dzięki ci, Hermesie, za dar pisania i czytania. Jak bardzo chłonna wiedzy musiała być Nastka? W szkole nauczyciel był ślepy? Wskakuję do łóżka i biorę do ręki Alali.

– Ciekawe, rybacka córko, jakim cudem znalazłaś się w posiadaniu Nastki? – Sięgam po pamiętniczek, kartkuję przeczytane stronicie. Naprawdę podziwiam cię, Anastazjo.

„Posłuchaj, Alali.

Mama nic tylko śpi i śpi. A Marcyś z głodu płacze i ja też. Byłam we dworze, a tam starsza pani nakrzyczała, że my darmozjady. Ale placka dała. Podzieliłam go na trzy, to mnie gęsi po drodze napadły. Dziobały, że musiałam im placka oddać. Już nie chcę, żeby pan Leopold mamusi lekarstwo przynosił. Bo po nim mamusia tylko śpi, a nie sił nabiera!” Dziecko, powiedz komuś, że pan matkę usypia! Brak mi słów.

„Posłuchaj, Alali.

Boję się. Byli granatowi i mamusię zabrali. Ja i Marcyś skryliśmy się w krzakach. Stara Mateuszowa mówi, że mamusia zdrowa wróci. To by dobrze było. Nie chcę iść do sierocińca, pani Amelia niedobra jak tak mówi. A Marcysia też nie oddam! Tylko kiedy los się dla nas odmieni? Pomóż nam, Alali, spraw, żeby pan nie przyszedł więcej. Nie chcę tego już więcej robić”.

Może ten pan Leopold podawał prababce narkotyki? Przecież mógł je jakoś zdobyć. A może to alkohol? Może poił ją, żeby nie trzeźwiała, a sam w tym czasie wykorzystywał małą...

„Posłuchaj, Alali.

Znalazłam w polu złoty zegarek. Zaniosę do dworu, to może jakąś nagrodę mi dadzą? Nie mogę się doczekać. Dla Marcysia o mleko poproszę, a może bochen cały dadzą?”

Coś mam złe przecucia...

„Posłuchaj, Alali.

To niesprawiedliwe! Przecież ja nic nie ukradłam.

Ani Marcyś. Pan zagroził, że powie granatowym, jak nie będę grzeczna. Co tu robić? Mamusiu, wróć do nas, błagamy cię. Albo ty, Alali, użyj swoich czarów, jak w lochach. Zrób coś, przecież księżną jesteś. Proszę”.

Gdzie jesteś, mamusiu cholerna! Nie mogę spokojnie czytać. Krew mnie zalewa z tej bezradności. Co ją jeszcze czeka? Czy może być coś gorszego dla małej dziewczynki? Łzy kapią na stare karteluski, mieszają się z tymi sprzed siedemdziesięciu lat... Czy moja mama też nad nimi płakała? Dziadek na pewno wszystko doskonale pamiętał. Podobno im człowiek starszy, tym więcej szczegółów sobie przypomina, właśnie z wczesnego dzieciństwa. Powracające we

wspomnieniach nieszczęśliwe dzieciństwo, pamięć tamtych lat uniemożliwiła przebaczenie własnej matce. Czyja zdołam jej wybaczyć? Mojej prababce... Prazabójczyńni...

Dziadek miał rację, że poznam Nastkę, wartą zapamiętania, podziwiania, małą dziewczynkę, wrażliwą na niesprawiedliwość, buntującą się przeciwko niegodziwcom. Cóż, kiedy jej jedyną bronią było pisanie? I ogromna wyobraźnia, pod którą ukryła się jak pod parasolem. Tyle że dziurawym.

„Posłuchaj, Alali.

Mateuszowa powiada, że nic już z nas nie będzie. Ze mnie i z Marcysia. Ona nie wie, że ty nas, Alali, obronisz. Albo mamusia. Jak wyzdrowieje, to zaraz wróci i wszystkim pokaże, że nie mieli racji. Tylko panienka Julita nam pomaga. Dzisiaj jabłek z piwnicy nam przyniosła. Są jeszcze dobrzy ludzie. Panienka na ucho szepnęła, żeby z domu uciekać, bo granatowi mają nas do jakiegoś domu zabrać. Ale ona nie wierzy i każe w kryjówce na mamusię czekać. I mogłam cię, Alali, na rękach ponosić, jak własną. Patrzyłaś tymi cudnymi kroplami wody prosto z morza, z tego samego co ciężkie więcierze ryb nosiłaś. A śpiewałaś przy tym jak ja teraz Marcysiowi. Tylko pisanie moje ukryć dobrze muszę, żeby policja nie znalazła”.

Dobrze schowałaś, moja mądralo. Ile lat mogła mieć panna Julita? Najwyraźniej od samego początku sprzyjała Nastce. Może nawet sama doświadczyła „ojcowskiej miłości”? Muszę koniecznie odnaleźć tę baśń o Alali. Nigdy dotąd nie spotkałam się z tym imieniem, skąd ono może pochodzić? Do głowy przychodzi mi tylko jeden pomysł. Matka Filipa. Tak, pracuje w bibliotece i być może skontaktuje mnie z jakimś znawcą baśni.

Tymczasem dzwonię do babci.

– Dobry wieczór, jak zdrówko?... Tak, jestem w trakcie... Zastanawiam się, czy dziadek próbował odszukać bajkę o Alali? Przecież musi gdzieś być, skąd stara Mateuszowa ją знаła? Może ta kobieta nie była rodowitą Polką? To nic, ja spróbuję się czegoś dowiedzieć... A poza tym wszystko w porządku? Jaki mężczyzna? Widziałaś go?... To skąd wiesz... ? Nie, niedobrze, że nie dali jej telefonu!... Nie krzyczę, przepraszam, ona czeka na znak od tego pana, wytłumaczę ci, jak przyjadę. Pa.

Cholera! Psia kość! Do domu rodziców Beaty przyjechał ten znajomy z Tunezji. To musiał być on. Był razem z dziewczynką. A oni nie dali mu nawet numeru telefonu! Pewnie są bardzo z siebie zadowoleni, bo po co ich córce facet z dzieckiem?! Bez namysłu sięgam po książkę telefoniczną i notuję adresy szkół muzycznych w Warszawie. Trudno, nie będę czekać z założonymi rękoma na cud. Zresztą lubię mieć gotowy plan na następny dzień.

Podczas zamykania żaluzji z radością stwierdzam, że chrabąszczyk ma się lepiej. Właśnie wędruje po fircance i wcale nie ma ochoty wyfrunąć w noc. Poczekaj, malutki, zaraz upoluję ci kolacyjkę. Podniecona dzwonię do Beaty.

– Słuchaj, mam dwie dobre wiadomości, którą chcesz najpierw usłyszeć? – żartuję do słuchawki. – Tę lepszą, proszę bardzo. Chrabąszcz przeżył i nie zamierza się wymeldować, udaje wzorek na fircance. Nie lata u ciebie jakaś zgrabna muszka? – Śmieję się obie. – A chcesz

usłyszeć tę drugą?... Zapewne rodzice nie chcieli zawracać ci głupstwami głowy, ale wiesz, kto im złożył wizytę?... Nie, nie zboczony Okularnik... Twój znajomy z czasów... Nie dali mu twojego telefonu, wyobrażasz sobie? Ale ja już coś wymyśliłam... Głupstwa opowiadasz, przecież nie pójdziesz do wróżki!... Ale jesteś uparta!... No to cześć!

Wariatka. Dlaczego ludzie bywają tacy uparci? Spokojnie poczeka, aż ją odnajdzie... A może zapomniała mi wspomnieć, że to gliniarz? Nietrudno nie zgodzić się z Wellsem, że „nie ma gorszych ślepców nad tych, którzy nie chcą widzieć”.

A ja? Czy też jestem ślepa na własną prośbę? Cóż mam sądzić o Filipie? Dlaczego poszłam z nim do łóżka, czyżbym źle odczytała sygnały fragmentów naszych ciał? Czy to hormony przesłoniły rozum? Jak mogłam się znowu pomylić? Który to już raz? Oj, brakuje paluszków, żeby zliczyć.

Sen nie przychodzi. Włączam płytę z piosenkami Osieckiej. Są takie mądre i piękne. Śpiewam razem z Kasią, Robertem, Joanną... Zapadam w mrok, tylko z pozoru kojący, bo oto rozstępuje się ziemia, trwa kataklizm trzęsienia całej naszej planety. O dziwo unoszę się i lecę ponad pyłem i dymem, wypatrując znajomych i bliskich mi osób. Dostrzegam dziadka, obniżam lot, by mógł wdrapać się po skrzydle na grzbiet. Lecę dalej, wysilam wzrok i zauważam mężczyznę z dziewczynką. Mała gra na skrzypcach, podczas gdy jej ojciec rozgląda się bezradnie w poszukiwaniu ratunku. Ponownie zniżam lot, ułatwiając wspinaczkę na mój kadłub. W pewnym momencie dziewczynce wypada z rąk ukochany instrument prosto w szczelinę rozstępującej się ziemi. Mała bez namysłu rzuca się ich śladem, a gęste od pyłu powietrze przecina przeraźliwy krzyk ojca. Po chwili i on podąża w ciemną czeluść. Nie potrafię im pomóc. Bezradna oddalam się w kierunku ogromnej wody, może oceanu? W spokojnym bezmiarze rozpoznaję własne odbicie. Jestem motylem, a moje skrzydła mają barwę wody. Przysiadam na dryfującej samotnie gałęzi, stając się niewidoczna dla oka żerującego w pobliżu owadamutanta. To szerszeń wydający odgłos odrzutowca. Brzmi coraz bliżej i groźniej... Czy dojrzy bezbronny motyla?

Budzi mnie dziwny odgłos. Powoli wraca świadomość, a wraz z nią obraz chrząszczyka na firance. Zapomniałam, że to nocny marek... Przytulam Alali, tę, która miała szczęście spotkać swego księcia. Całuję czółko pomiędzy morskimi oczkami. Pa!

## Rozdział 12

Ranek przegania złe myśli, słoneczną miotełką wymiata niepotrzebne paprochy zaśmiecające podwórko ograniczone czaszką. Dlaczego nocą wszystko wydaje się takie straszne? Przed wyjściem z domu nadaję imię nowemu lokatorowi. Piotruś, na pamiątkę dawnych zdarzeń.

Jeśli tu, w bibliotece, nie znajdę kogoś, kto mógłby pomóc w odnalezieniu baśni, to mogę pożegnać się z nadzieją jej odnalezienia w ogóle.

– Przepraszam – zagaduję pierwszą napotkaną osobę. – Gdzie znajdę panią... ? – Nie muszę kończyć, widząc płynącą ku mnie obszerną postać.

– Aldona! – Chwytają mnie przepastne ramiona. – Witam cię moja droga... Jesteś jeszcze piękniejsza... Dumy ten mój syncio, dumy... – Całujemy się jak dobre znajome. Aż żal, że to nie za nią miałam wyjść. – Co u ciebie słyhać?

– Niedawno zmarł dziadek... Pozostawiając mi pewną niewyjaśnioną sprawę. Krótko mówiąc, potrzebuję odnaleźć jedną baśń. Pomyślałam, że pani może mi pomóc? – Ponownie pochwycona w ramiona staram się streścić to, co wiem o baśni z pamiętnika Nastki.

– To piękne imię. Alali. Tak charakterystyczne, że z pewnością uda się ją odnaleźć. Spytaam tu kilka osób i dam znać, gdy dowiem się, z jakiej baśni pochodzi. Mnie kojarzy się z południem Europy, z nadmorskimi Włochami lub Francją... – Pani Zaleska naprawdę pragnie mi pomóc. – Ucałuj ode mnie babcię, musiała to bardzo przeżyć... Tak mi przykro... – Nie chcąc się rozkleić, notuję mój telefon i żegnam się. Dosłownie w ostatniej chwili pytam mimochodem.

– Czy miała pani wiadomości od Filipa? W redakcji niepokoją się o niego...

– Dzwonił do mnie, ale był taki tajemniczy... Ma dla mnie jakąś niespodziankę... Był tak zauroczony rudą nieznajomą, że nie potrafił ukryć wzruszenia. Poza tym niewiele rozumiałam, wciąż przerywało rozmowę. Naprawdę żałuję, że wam nie wyszło... – Pani Zaleska odchodzi, kołyszac olbrzymimi biodrami. Tak, w bibliotece najłatwiej dorobić się szerokiego dupska. Pewnie Filipek pójdzie w ślady matczynej jej szerokomości. Niech go diabli!

W celu uspokojenia urażonej babskiej dumy rozpoczynam nerwowe szperanie w regale z... nawet nie wiem czym, bo do oczu cisną się niepokorne łzy. Muszę się opanować, uspokoić nerwy, ostatecznie nic takiego się nie stało. Muszę... O cholera... Sam imć pan Okularnik we własnej osobie. Chodź, kochaniutki, mam tu coś dla ciebie. No, bliżej, śmiało... Sięgam do torebki po pojemniczki z gazem, kładę palec wskazujący na przycisku. Ale bezczelnie się uśmiecha... W momencie, gdy otwiera usta, wyciągam rękę i częstuję młokosa rozpylonym gazem. Psss...

– I nie łaż za mną więcej, bo wezwę policję, rozumiesz? – Chyba niewiele słyszy, bo już pędzi z wrzaskiem przed siebie, pewnie w poszukiwaniu łazienki. – Wsadź głowę do kibelka! – krzyczę w ślad za moim prześladowcą.

Jestem z siebie dumna. Odechce się smarkaczowi straszenia.

– Co się pani tak gapi? To zбочeniec – informuję rozdziawioną buzię bibliotekarki. Czuję, że opary gazu wgryzają się i w moje szparki oczu. Z płaczem wybiegam na ulicę. I tak naprawdę to nie wiem, czy płaczę z powodu gazu, czy może Filipa?

Teraz powinnam odwiedzić najbliższą szkołę muzyczną. Sięgam po kartkę z adresami.

– To powinno być niedaleko. – Mówię do siebie? To coś nowego. Zaglądam do trzech szkół. Bez powodzenia. Dopiero w czwartej zauważam afisz informujący o odbywającym się za tydzień konkursie młodych skrzypaczy. W szranki stanąć mają najzdolniejsi uczniowie z Warszawy i okolic. Kurczę! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Przecież ja nawet nie mam pewności, czy oni mieszkają w Warszawie? Muszę to jak najszybciej ustalić. Wracam zdruzgotana i rozmazana. Pod moim blokiem zbiegowisko. Czyżby cud na szybie u sąsiada? Nie, ludzie pochylają się nad ławką. Trudno dojrzeć, co tak namiętnie podziwiają? Wspinam się na palce, ale nadal nic nie widzę. Może ktoś zemdlął? A ci nie dopuszczają świeżego powietrza.

– Co się stało? – pytam odchodzącego starszego mężczyznę. W odpowiedzi otrzymuję jedynie kiwnięcie głowy i lakoniczne stwierdzenie:

– Nie do wiary... Tak zagłodzić zwierzę?

Gdy tłumek gapiów rozrzedza się, zaglądam i ja. Widok rzeczywiście zapiera dech. Z wychudzonej do granic możliwości mordy zerkają dwa wybałuszone węgielki psich ślepiów. Pomimo długiej sierści, można policzyć wszystkie kości, miejscami wychapana do skóry sierść odsłania czarne, powstałe zapewne od drapania się strupy. Gdy mija pierwszy szok, zwracam uwagę na dziwnie znajomo wyglądający spod psa koc. Coś mi przypomina...

– Przedstawiam ci Rudą. – Tak właśnie mówi Filip. Po prostu.

– Filip!? Co ty tu robisz? – Pomimo że przecież widzę, czekam na wyjaśnienia. – Co to za cyrk? Powiesz mi?

– To właśnie Ruda, której o mało nie przejechałem. Przecież nie mogłem jej tak zostawić. – Filip zgarnia koc razem z kościotrupem psa.

– I co z nim zrobisz? – Widzę błagalne spojrzenia psa i człowieka. Niesamowite! – Ja nie mogę, ja już mam... Chrabąszcza! – I po co mi to było! Ile razy zadam sobie to samo pytanie?! Kierujemy się do klatki schodowej odprowadzani przez jawne śmichy i chichy ludzi, dopiero co przejętych dolą psa.

Filip delikatnie układa tobołek z kosteczkami psa na podłodze. Mimo to słyszę delikatny skowyt bólu. Naprawdę żal mi biedaka.

– Dlaczego on jest taki... Chudy?

– Po pierwsze, to ona. To sunia. Wyszła na drogę nagle, jakby chciała zginąć. Wiem, że to niemożliwe, ale gdy wyhamowałem i wyszedłem z samochodu, ona wciąż leżała, nie miała już nawet zamiaru wstać. Wyobrażasz to sobie? Resztką sił wyszła na ulicę. Na szyi miała łańcuch... Jej poprzedni właściciel zagłodziłby ją na śmierć. Nie wiem, czy sama, czy ktoś pomógł jej uwolnić się z łańcucha, dość że znalazła się przy drodze, którą przejeżdżałem. Co miałem zrobić?

Pozbierałem ją w koc i zawiozłem do najbliższego szpitala.

– Do szpitala? Przyjęli psa do szpitala?

– Tak, wyobraź sobie, że zrobili jej prześwietlenie, podłączyli kroplówkę... Przerazili się tak samo jak ja, gdy ją zobaczyłem. – Smutne, przenikliwe ślepie sondują mnie na wskroś.

– Czy nic jej już nie grozi? Wiesz, co mam na myśli?

– Powiedzieli, że powinna się wylizać. Jest młoda. Zezwolili też na przewóz do domu... Wiem, jak się nią opiekować. Pomożesz mi?

– Pewnie, że pomogę. Zrobię może zakupy... Co ona powinna jeść?

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

– No coś ty, nie znasz mnie?

– No wiesz, przecież już masz zwierzę. Dobrze zrozumiałem, chrabąszcza?

Ale złośnik, nie daruje sobie uszczypliwości. A niech to, zasłużyłam na nią.

– Dobrze, że jesteś... Kocham was.

Z nieukrywaniem podziwem patrzę na Filipa wstrzykującego pod skórę Rudej płyn nawadniający. Ale go wyszkolili w tej dziurze. Teraz czekamy, aż pęcherz się wchłonie.

– Jutro poproszę znajomą pielęgniarkę, żeby robiła zastrzyki dożylnie. Tych nie odważę się dawać. Wiesz, co powiedział lekarz? Że najlepsza dla Rudej będzie opieka w domu, w atmosferze miłości.

– Zgadzam się z nim, to prawda... Co robisz... ? Przy psie?

– Przecież przyznałaś rację. Właśnie się staram o taką atmosferę... – Wlepiony w nas wzrok Rudej wydaje się coraz bardziej zdziwiony... W Wigilię nas podsumuje.

Czas się zbierać. Ustalamy listę zakupów: posłanie dla Rudej, kleik dla Rudej, kurczak dla Rudej... Niezły posag wniósł Filip.

Zaglądam do Beaty. No tak, wcale jej nie zależy na nowym znajomym skoro śpi po dobranocce.

– Nie wygłupiaj się! Umyj twarz, zabieram cię do sklepu. – Przemawiam tonem nie znoszącym sprzeciwu. – A wiesz, że użyłam gazu?

– Coś ty! Na Okularnika? – Wiadomość działa lepiej niż wiadro z zimną wodą.

– Wyobraź sobie, że polazł za mną do biblioteki. – Moja opowieść działa niczym nadczytność tarczycy. Beata wytrzeszcza z niedowierzaniem oczy.

– Ale z ciebie numerantka, podziwiam cię...

– Za to ty nie grzeszysz brawurą. Obie wiemy, że chowasz głowę w piasek jak jakaś smarkula. Aż tak się asekurować? – rzucam słowa jak kości na pożarcie.

– O co ci chodzi? Jeszcze ci nie przeszło? – Przyjmuje postawę obronną, to dobrze.

– Czy ty naprawdę wyobrazasz sobie, że będzie przyjeżdżał taki kawał drogi Kto teraz ma czas na takie głupstwa?

– Też mi wysiłek... I tak wciąż przyjeżdża do córki na Ursynów. – Jest! Połknęła haczyk.



Mam cię bratku.

– To gdzie on mieszka? – pytam najbardziej obojętnie, jak potrafię.

– Po rozwodzie załatwił sobie pracę na wybrzeżu... Buduje okręty. A zresztą czy to ważne? – Świdrujące spojrzenie i wszystko już wie. – Co ty kombinujesz?

– Zaraz kombinuję, po prostu jestem ciekawa. Chodźmy, to dopiero cię zaskoczę.

Podczas wyboru posłania, opowiadam o Rudej.

– Musi być spora, skoro wybrałaś największe legowisko.

– Na razie leży jak koń. Łapy wyprostowane, sztywny kark...

– Przeżyje?

– Podobno tak, ale nie jestem pewna. Strasznie mi jej żal. Patrzy tak jakoś przeraźliwie smutno, jakby z wyrzutem. Upłynie dużo wody, zanim znowu zaufa ludziom.

Stoimy w kolejce do kasy za dwiema młodymi dziewczynami rozprawiającymi o jakimś filmie. W pewnej chwili dociera do mnie, że jedna z nich włożyła bluzkę na lewą stronę. Dokładnie widzę szwy i metkę z rozmiarem na plecach. Dlaczego jej koleżanka nic nie mówi? Przecież na pewno widzi pomyłkę?

– Włożyłaś bluzkę na lewą stronę. – Staram się dyskretnie poinformować dziewczynę, karcąc jednocześnie wzrokiem wredną koleżaneczkę.

Zagadnięta dziewczyna odwraca się, demonstrując swój przód zapięty na kilka guzików, niewątpliwie po prawej stronie. Nic już nie rozumiem. Muszę mieć dziwną minę, bo doprowadzam nią do salwy śmiechu połączonego z politowaniem. Czuję się nagle strasznie stara... Jak trzydziestoletnia staruszka.

– Beata, mogłabyś zerknąć na moje włosy? Zostało choć kilka czarnych czy osiślałam do końca?

– Smarkule! Też chciałam zwrócić uwagę, ale mnie uprzedziłaś. – Moja lojalna przyjaciółka. W końcu jedziemy na tym samym wózku.

Filip serwuje omlet, zapach smażenia rozgościł się po kątach, a okna? No tak, oczywiście zamknięte. Rzucam się, by je jak najszybciej otworzyć.

– Co robisz!? Chrabąszcz ucieknie, widziałem go. – Filip niewątpliwie przeżył szok. – Ty naprawdę masz... owada!

– Owszem, tylko że zawarłam z nim umowę. Jeśli zechce, może lecieć na wolność.

– Jesteś niesamowita, niepowtarzalna... Zawierasz umowy z robalami, śpisz z lalką z lamusa... Czym mnie jeszcze zadziwisz? – Ale ja już myślę o jednym. Zajrzał do kuferka pod łóżkiem czy nie?

Chyba jednak nie, stoi na swoim miejscu. Dzwonek. To pewnie Beata zostawiła zakupy w domu i przyszła obejrzyć Rudą. I jeszcze jedna gęba do pachnącego omletu!

– O Boże... – Jęki, steki. Muszę przyzwyczać się do reakcji ludzi na widok Rudej. Beata wyciąga rękę, by pogłodzić ją, ale sunia z przerażeniem uchyla łeb.

– Nie zna cię – pociesza Filip. – Kupiłyście pieluchy?

– Pomyślałam, że kilka dni poleży w domu. Nie będziesz jej musiał nosić, jest taka obolała... Żeby tylko je zaakceptowała. – W spojrzeniu Rudej dopatruję się wdzięczności. Przysięgłabym.

– Czemu ma łyse polany? Kto jej wyciął tyle sierści? – Beata najwyraźniej nie może pogodzić się z faktami.

– Ja. Musiałem usunąć największe kołtuny. Nie dało się ich rozczesać, zresztą po co dokładać jej bólu? Była zawszona, zapchlona, a w sierści tkwiło pełno rzepów... – Filip zamyśla się.

– Rozumiem, jasne, że trzeba było tak zrobić. Sierść odrośnie, a Ruda będzie jeszcze psią pięknością, zobaczycie. – Ona naprawdę w to wierzy. Ja zresztą też.

Filip wychodzi po swoje rzeczy. Zostajemy we trzy, każda pogrążona we własnych myślach, jak trzy wyspy na jednym oceanie. A jednak mamy coś wspólnego... Jednakowo potrzebujemy miłości. I to jest tak pewne, jak to, że po odpływie przyjdzie przypływ.

– Kochasz go? – Mogłabym o to samo spytać Beatę.

– A jak go nie kochać? Kucharz, pielęgniarka i kogut w jednej osobie. I nawet jego matka mnie lubi... Ty wiesz, że byłam zazdrosna o Rudą?

– Myślę, że wam się uda. W każdym razie jesteście na najlepszej drodze... – Beata spojrzała na Rudą.

– Chyba wiem, co masz na myśli...

– Opieka nad tym biedactwem zbliży was do siebie jeszcze bardziej. Filip to dobry człowiek... Mimo wszystko mamy trochę farta do spotykania ich na swojej drodze...

– Przypomniała mi się twoja bajka o dziewczynie, która wiesz...

– Jak już kogoś pokochała, to on umierał? Miałaś wymyślić dla nas lepszą historię... – przypomniała.

– Oj, nawet jestem w trakcie jej realizacji... – Zrobiłam tajemniczą minę.

– To dobrze. I nie chcę już słyszeć, że zapomniał o jakiejś bzdurnej dacie. Zwyczajnie przypomnij mu, kiedy się pierwszy raz, no wiesz co...

– Całowaliśmy? – spytałam kpiąco.

Beata potrafi słuchać jak nikt na świecie. Kiedyś zaliłam się jej na Filipa, który nie uczył naszej sekretnej daty. Moje wzburzenie sięgnęło zenitu, gdy nie domyślił się powodu uroczystej kolacji przy świecach. Ciskałam się kilka dni, a biedny Filip kombinował, o co mi chodzi.

– Jednak już troszkę urosłam od tamtej pory. I wiesz, co ci powiem?

– Ciekawe...

– Radzić to ty potrafisz... Mogłabyś tylko czasem pomyśleć o sobie i zastosować się do własnych rad.

– Pomyślę. Obiecuję.

## Rozdział 13

Sięgam po kuferek. Ruda nie wyjawia tajemnicy ani mojej, ani swojej. Mogę śmiało czytać zapiski Nastki nawet na głos, jej nic nie zdziwi, tyle krzywdy zaznała od ludzi...

„Posłuchaj, Alali.

Długo nie pisałam do ciebie, bo i długo cię nie widziałam. Byłam z Marcysiem w Mateuszowej stodole. Ona jedzenie donosiła i sprawdzała, czy granatowi sobie poszli. Ona mówi, że jak nasza mamusia wróci, to nie będzie musiała dzieci po obcych domach szukać. A ona wszystko wie. Za jedzenie musieliśmy z Marcysiem placki krowie zbierać. Takie suche to nawet nie śmierdziały, a na nawóz jeszcze się nadadzą. Zaraz pójdę do panienki i popatrzę na ciebie. Nasłuchałam się o tobie tyle.

Strasznie niedobra ta dama Flora dla ciebie była. To ona cię do lochów zaprowadziła, a nie do wieży, jak Bertrand kazał. To przez nią tyle wycierpiałas’”.

Och, ty najmądrzejsza istota na świecie. Uważaj tylko na tego pana Leopolda.

Dzwonię do matki Filipa, może nowe imiona pomogą w odnalezieniu baśni o Alali.

Miałam dobre przeczucia, Bertrand to imię francuskie, szczególnie rozpowszechnione na południu kraju w Prowansji, dawnej krainie historycznej. Właśnie tam księżęta nosili to imię. Pani Zaleska zna osobę, która być może słyszała o tej baśni. To córka pisarki zafascynowanej opowieściami znad Morza Śródziemnego. Jej matka zmarła, ale córka jest w posiadaniu wszystkich zbiorów baśni napotkanych i przetłumaczonych na język polski. Pozostaje czekać. Och, Nastko, ukochałas Alali, jakby była żywą istotą.

„Posłuchaj, Alali.

Zabrali Marcysia! Kiedy poszłam do lasu po drzewo, to granatowi Marcysia uprowadzili. Co ja teraz mamusi powiem, jak wróci? Co bez niego będzie? On jeszcze mały taki, kto mu pośpiewa do snu, kto utuli, gdy zapłacze? Gdzie go szukać? Serce to mi zaraz pęknie, tak mocno wali. Gdzie jesteś, mamusiu? Wróć! Pójdę na pole listków poczwórnych szukać, może jak znajdę to Marcysia oddadzą?”

Odebrali jej brata, a ona rozpacza jak matka po stracie synka. Biedna mała i taka odpowiedzialna. To prawda, że nieszczęście jak miłość wiąże ze sobą. A tych dwoje połączył podwójny węzeł, miłości z nieszczęściem.

„Posłuchaj, Alali.

Nie znalazłam, bo już ciemno się zrobiło. Ale ty długo w ciemnym lochu wytrzymałaś, to i ja wytrwam. Wszystko zniosę jak dzisiejszej nocy, byleby mama i Marcys wrócili. Pan Leopold spytał, co bym chciała, ale nie śmiałam o ciebie prosić. Ważniejsza mamusia z Marcysiem,

prawda? Nie gniewaj się, moja kochana”.

A to stary dziad! To pewnie on pozbył się małego...

„Posłuchaj, Alali.

Tak bardzo się wstydzę. Byłam bez ubrania, a pan Leopold mnie dotykał i głaskał. Powiedział, że dzieci też rodzą się gołe, dlatego jest to naturalne. Zimno mi było i pan taki brzydki, pomarszczony. Jak będę grzeczną dziewczynką to mamusia wróci, ale ja wolałabym, żeby i Marcysia mi oddali”.

Brakuje mi słów, by wyrazić, co czuję.

„Posłuchaj, Alali.

Czekam na księcia, tak jak ty czekałaś. Nie zwątp

piłaś, że cię uratuje, dlatego i ja wierzę, że przyjdzie po mnie. Na koniu pojedziemy prosto do jego pałacu, a tam dworki wykąpią mnie i pachnidelkami zleją. Mój malutki niebieskozielony ptaszek tak powiedział, a ja mu wierzę. Pocałowałam oczko w pierścionku i wtedy stały się czary. Oczko ożyło i zmieniło się w ptaszka. Ptaszek poleciał do księcia i opowie mu wszystko. A on uwierzy i przyjdzie po mnie. Posłuchaj, moja ukochana Alali, już słyszę jego kroki”.

Nastka całkiem już się pogubiła. Nie odróżnia fikcji od rzeczywistości. Może to dla niej lepsze? Ile jeszcze wycierpisz, dziewczyno?

Ruda reaguje na moje łzy. Spogląda w moim kierunku, a jej żalosne skamlenie wzruszyłoby najtwardszy głaz. Pochyliłam się i kładę obok niej głowę. Ruda obwąchuje mi twarz, smakuje płynące słone krople i wtula łeb w moją szyję. Usypia. Delikatnie, by jej nie zbudzić, podnoszę się. Sięgam po pamiętnik. Do końca pozostało zaledwie kilka kartek, czy poznam całą prawdę o śmierci Nastki?

„Posłuchaj, Alali.

Nie pisałam całą zimę. Dopiero co mi panienska atrament podarowała. Ona była we Włoszech, to inny kraj, a ludzie inaczej ze sobą rozmawiają. Panienska powiedziała kilka słów, ale nie zapamiętałam. A Marcysiowi to teraz podobno dobrze. Obcy ludzie go pokochali jak swojego, dostaje jedzenia, ile zechce. Pan Leopold mówi, że mnie też jak córkę kocha, ale mu nie wierzę. Alali do tej pory nie dał, chociaż obiecywał. Dobrze, że chociaż Marcysiowi lepiej. Pewnie siostrę też zapomniał”.

Kolejny zapisek nie posiada tradycyjnego początku. Uszczęśliwiona dziewczynka jak najszybciej pragnęła podzielić się wiadomością.

„Mamusia wróciła! Dobra kochana mamusia. Tylko jakaś smutna. Żal jej pewnie straty Marcysia. A może zagniewana, że nie upilnowałam, pozwoliłam zabrać. A o panu nic nie powiem, nie chcę jej smucić jeszcze bardziej. Jak płacze, to trzęsie brzuchem. Ma taki duży brzuch, mówi, że na opuchliznę choruje. Jak żona Ignacego umierała, to całkiem spuchła. Boję się”.

Czyżby dobra i kochana mamusia znowu zaciężała? I co się mogło stać z kolejnym

dzieckiem?

„Posłuchaj, Alali.

Już wiem, że nie jesteś prawdziwa. Mamusia też urodziła nieprawdziwe dziecko. Wiedźma zaraz je zabrała, powiedziała, że zakopie. A tobie to dobrze, stoisz taka dumna i zapomniałaś o biedzie. I nie ruszasz się, jesteś tylko lalką!”

Prababka urodziła martwe dziecko. Nastka wyraźnie wytrącona z równowagi.

„Posłuchaj, Alali.

Jesteś taka dobra, wysłuchałaś moich prośb. Byłam z mamusią u komisarza. Powiedział, że oddadzą Marcysia. Dziękuję ci, kochana Alali. Jesteś moją wróżką”.

Wiem, że dziadek wróci. Przecież pamiętał pogrzeb Nastki. Ruda podnosi łeb, zerka w stronę drzwi. Po chwili dzwonek. Skąd psy wiedzą, kiedy wraca ich pan?

Chowam pamiętniczek do kuferka i wstawiam do szafy. Wciąż nie mogę opanować drżenia. Zapiski kończą się, a ja nadal nie mam pojęcia, co z tą wiedzą począć.

– Jak tam moje dziewczyny? – Filip rozkłada ramiona. – Co ty się tak trzęsiesz? Ale macie miny, powiedz, piesku, coście narozrabiały?

Ale Ruda tylko wlepia ten swój psi wzrok i nie zamierza wydać swej pani.

– Dzisiaj zabrałem tylko najpotrzebniejsze drobiazgi, jutro przyjedzie ciężarówka z meblami.

– Dobrze wiem, że to żart.

– Mam propozycję, przenieśmy się na lato do babci. Tam byłoby jej najlepiej. – Patrzę na psa.

– W ogrodzie prędej nabierze sił...

– Przepraszam, a ja jako kto miałbym tam przebywać? – pyta Filip.

– No wiesz, mógłbyś się ze mną zaręczyć, kupić pierścionek, uklęknąć... Sam wiesz...

– Myślałem, że już nigdy mi tego nie powiesz. – Wyraźnie cieszą go moje oświadczenia.

– Przecież to należy do faceta...

– Owszem, tylko że po ostatnim koszu jakoś nie miałem odwagi więcej cię prosić...

– To ty niby nie wiesz, „że pomiędzy kobiecie TAK a NIE szpilki nie włożysz”. – Och ci faceci tak niewiele pamiętają z lekcji literatury.

Narzeczoną zostaję dopiero późną nocą. Za pośrednictwem pierścionka z zielononiebieskim oczkiem. I jak tu nie wierzyć w bajki?

## Rozdział 14

Ranek za bardzo się pospieszył. Zamiast wylegiwać się w poduchach błękitnego jedwabiu, wstał rześki i wesolutki jak skowronek. A mój narzeczony wraz z nim. Ale numer, przyciskam usta do błyszczącego oczka na mym palcu. – Długo się ukrywałeś w kieszeni spodni? – Ale kamyk milczy... jak to kamień. Dzwonię do babci. Powinna wiedzieć pierwsza. Po długim oczekiwaniu wreszcie ją słyszę. Jest przerażona. Ten gówniarz w mikroskopijnych okularkach nie daje za wygraną. Muszę naprawdę zawiadomić policję. I oczywiście jak najszybciej tam pojechać, może go rozwścieczyłam... co robić? Szybka ewakuacja z Rudą nie wchodzi w rachubę. Dzwonię raz jeszcze.

– Babciu, jest tam jeszcze? Zawiadom policję, tak będzie najlepiej. Nie mówiłam ci, on mnie prześladuje... Dałam mu gazem po oczach... W bibliotece... Nieważne, trzeba ich zawiadomić. Dzwon jak najszybciej... My z Filipem przyjedziemy po zastrzyku... Nie ja, Ruda... Powiem ci, jak przyjadę. Dzwon już, pa!

– Filip! Wyjdź już z tej łazienki. – Czy on sobie nogi goli? W odpowiedzi rozbrzmiewa fortissimo refrenu serenady.

– „Hej Hanno! Usłysz mnie. Wietrze wiej w siwej mgle. Zanieś moje słowa aż do Rózenbergu. Spytaj, czy mnie chowa w pamięci kuferku. Dziewczyna ma”.\* [„Hej, Hanno” – słowa Agnieszka Osiecka (przyp. autora). ]

– Filip, mogę? – wykorzystuję pauzę. – Musimy pogadać...

Po godzinie jedziemy do babci. W komplecie, to znaczy Filip i ja z Rudą na tylnej kanapie opła. Sunia ufnie zerka mi w oczy, jakby mówiła: wiem, że chcesz dla mnie dobrze, wierzę ci.

Droga dłuży się jak zwykle, gdy człowiek się spieszy. Gdy wreszcie jesteśmy na miejscu, a właściwie zbliżamy się do domu, sztywnieję. Zamykam oczy, otwieram, zamykam, otwieram... Policja, karetka pogotowia, straż pożarna, brakuje tylko pogotowia gazowego. Wsiadam, rozglądając się za kimś kompetentnym, kto poinformuje mnie o UFO lub rozbitym samolocie... albo mnie uszczypnie.

– Kim pani jest? – To policjant.

– Wnuczką, wnuczką babci... – Zapomniałam, kim jestem?

– Proszę się uspokoić, nikomu nic się nie stało. Proszę pójść i się przekonać, a potem jeśli łaska, chciałbym porozmawiać.

– Filip, daj panu moje dokumenty. – Zostawiam torbę i zbliżam się do drzwi. Sięgam ręką do klamki, ale ktoś z drugiej strony uprzedza mnie.

– O Boże! Aaaa... – Ciekawe, czy Czerwony Kapturek miał tyle samo do powiedzenia, gdy zamiast babci ujrzał wilka?

– Ci... Cicho! – Właściciel małych okularów wciąga mnie do środka, a ja jestem

bezbronna!

Babcia leży na kanapie, kiwa do mnie i mruga porozumiewawczo. Lekarz zbiera do przepastnej torby swoje rzeczy.

– Jestem już niepotrzebny. Muszę biec do NAPRAWDĘ potrzebujących pomocy. Żegnam państwa. – A cóż to za insynuacje! Już zamierzam otworzyć usta, żeby mu powiedzieć kilka słów, gdy wzywa mnie babcia.

– Chodź tu do mnie, Aldonko. Nic nie mów. – Palec na ustach przekonuje mnie do zachowania milczenia. Okularnik odprowadza właściciela białego kitla do drzwi i wraca. Zachowuje się tak naturalnie, jakby był tu codziennie.

– Co tu się stało? I kim ON jest? – pytam po wyjściu doktora.

– Usiądź obok. – Babcia robi miejsce obok siebie. – Otóż... jakby ci to powiedzieć... Może ty jej powiesz? – Obie wlepiamy oczy w Okularnika. Co się dzieje, cholera, na wesele proszą czy co?

– Jestem Julek... Twój brat... – Powinam w tym momencie zemdleć albo przynajmniej przekląć. Ale ja mu wierzę. Wiem, że mówi prawdę. Ten drobny chłopiec w prześmiesznych okularkach spadł mi prosto z nieba. Spodziewałam się, że kiedyś odwiedzi mnie mama. Planowałam przecież zimną formułkę na powitanie jej, ale brat? Zaskoczył mnie kompletnie. Pozbawiona oręża, rozbrojona jak karabin maszynowy bez magazynka, otwieram ramiona.

– Jeśli to głupi dowcip, to ja cię zabiję. Pamiętaj. – Babcia szlocha.

– Wiem, że jesteś nieobliczalna... – Ninka z redakcji miała rację. Julek wypowiada słowa z namysłem i przesadnie dokładnie, śmiesznie.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu, na cmentarzu? Po co ta cała maskarada? – Nie dodaję, że miałam prawdziwego pietra.

– Bałem się o babcię. Tyle przeżyć, chciałem najpierw z tobą mówić, ale ty szybko działasz... Nasyłasz kierowców taksówek albo atakujesz gazem... Żeby nie okulary, to nie wiem, jak by się to wszystko skończyło... – Babcia marszczy brwi, nic nie rozumie. Zresztą było, minęło...

– Dlatego tu jesteś? Postanowiłeś porozmawiać z babcią? – Tu oboje zaczynają chichotać.

– A ja nasyłam policję... Biedaczysko... – Babcia pieści wzrokiem wnuka.

– To co w takim razie robiła straż i pogotowie? – pytam rzeczowo. Znowu śmiech.

– Strażaków wezwałam, ponieważ długo nie przyjeżdżała policja, a po telefonie od ciebie przestraszyłam się nie na żarty. – Cała babcia!

– Policjanci skuli mnie w kajdanki i chcieli zabrać do aresztu, więc powiedziałem im, kim jestem.

– Julek nie kryje rozbawienia.

– I wtedy właśnie przybyli strażacy. Na sygnale...

– wtrąca babcia. – Co miałam zrobić? Zemdląłam.

– Babcia z rozkoszą powtarza swój numer popisowy.

– No tak, wówczas policja wezwała karetkę... – dedukuję dalszy ciąg wypadków. –

Najwyraźniej lekarz nie dał się nabrać, wyszedł wściekły.

– To nic, jestem taka szczęśliwa, szkoda, że dziadek nie doczekał tej chwili... – Rzeczywiście zabrakło kilku dni.

Filip staje w drzwiach.

– Już odjechali. Pospisywali kilometry raportów, a wy módlcie się, żeby nie podali was do... Rany? Kogo ja tu widzę... Czy to przypadkiem nie słynny Okularnik? – Filip wlepia wzrok w Julka. Z trzech gardeł wyrywa się serdeczny, radosny, nieskrępowany śmiech. Osiąga jedną tonację, to samo brzmienie, tak jak to bywa w rodzinie.

Dziwna sprawa. Nigdy nie spodziewałabym się takiego rozwiązania.

W najśmielszych marzeniach nie pomyślałabym o takiej możliwości. Mam brata, dorosłego brata, o którego istnieniu nie miałam pojęcia.

Zaraz też myślę o moim drzewie. Skoro udało się z kasztanowcem, to dlaczego by nie z bratem? Wariackie pomysły kłębią się w oszołomionej nowiną głowie. Dlaczego tak oczywistą okazała się ta wiadomość? Przecież to mógłby być oszust albo żartowniś. Mnie zwyczajnie pasuje taki stan rzeczy. Odwleczona zostaje chwila prawdy z mamą w roli głównej. O krok jesteśmy bliżej siebie. Czyżby to był jej chwyt? Podstęp mający na celu udobruchanie mnie? Wprost przeciwnie. Skutek jest wręcz odwrotny. Czuję się okropnie. Dlaczego jego mogła wychowywać, a mnie nie?

A jednak się cieszę. I po krótkim zastanowieniu muszę uznać ten fakt za plus na jej korzyść. Mogła

przecież zabrać tajemnicę do grobu i nigdy byśmy się z Julkiem nie spotkali. Ona zdecydowała jednak nas ze sobą poznać. I już zawsze będę jej za to wdzięczna. Musi to przecież wiedzieć.



## Rozdział 15

Podobno „wycie jest liryką psa”. Ruda w takim razie deklamuje hymny, a może treny. Robi to we śnie, więc skłonna jestem myśleć, że miewa koszmary, nocne udręczenia rezerwowane dla wrażliwców. I tak nie mogę spać, więc wstaję, by zakończyć ten istny monolog biednej psiny.

– Obudź się, Ruda. Już nikt cię nie skrzywdzi. – Głódzę rozedrgany grzbiet. Sunia powoli uspokaja się i przysypia ukojona ciepłymi słowami, obietnicami miłości...

Piszę do świtu. Los się uśmiechnął do Rudej... Poranek postanowił zrobić nam niespodziankę.

– Aldona! Zobacz... Ruda próbuje wstać! – Podbiegamy dopingując psa do wysiłku. – Zuch piesek, no dalej, próbuj jeszcze... – Ruda stoi na trzęsących się łapach, dumna jak dziecko ze swych pierwszych kroczków. – Dobra dziewczynka, odpocznij już.

– Ale Ruda patrzy prosto w moje oczy, a ja wiem, że to spojrzenie dozogonej miłości.

– No nie, ukradł mi ją... – Zrezygowany Filip całuje moje włosy.

Podczas śniadania planujemy dzień. Ja postanowiłam przepisać tekst i zawieźć go do redakcji. Filip też ma sprawy zawodowe, a mój brat Julek zamierza wymeldować się z hotelu i przywieźć swoje rzeczy tutaj, do babci.

– Babciu, możemy zostawić tu psa? Wieczorem wrócimy i wspólnie zaplanujemy, co dalej robić.

– Już wszystko postanowione. Pies zostaje u mnie. Gdzie jej będzie lepiej, co, Ruda? – Ruda najwyraźniej nie ma nic przeciwko pozostaniu.

– Tylko pójdz do Skowrońskiej i poprosz o robienie zastrzyków. – Babcia już zaplanowała wszystko.

Pani Skowrońska jest pielęgniarką, córka lekarzem, ciekawe, kim będzie wnuczka? Takie sąsiedztwo to skarb. Wiem o tym, gdyż często bywałam pacjentką i matki, i córki. Mijam dom rodziców Beaty, jeszcze kawałek i będę na miejscu. Z przeciwka zbliża się mężczyzna z dzieckiem. Orany! Przecież to dziewczynka, drobna blondyneczka, wiek pana też by się zgadzał. Co tu robić? Wpadam w panikę. Może to oni? Spacerują, rozglądają się... Wszystko pasuje.

– Przepraszam, która godzina? – Nie jestem zbyt oryginalna.

– Dziewiąta. – O Boże, idą sobie!

– Ja bardzo przepraszam, czy nie byli państwo ostatnio w Tunezji? – pytam wprost.

– Niestety proszę pani. Chociaż chętnie byśmy się wybrali...

– I nie szukacie przypadkiem Beaty?! – Oboje kręcą przecząco głowami, jak dwa nakręcone kluczykiem automaty. – No to bardzo przepraszam raz jeszcze. – Odchodząc, słyszę krótką rozmowę ojca z córką.

– Tatusiu, kto to był?

– A... pewnie jakaś stara panna na polowaniu.

Pięknie, nie ma co! Wysłałam na kompletną idiotkę. Chamidło, pewnikiem urwał się z komedii Scribe'a.

– Dziewuszko! Spytaj lepiej tatusia, kto to taki szowinista? – Jestem świadoma zanikającej, miłej konwersacji między ludźmi.

Pochodzę z kraju, w którym na drzewach zakwitają reklamówki, niepotrzebne, zużyte jednorazowo i porzucone gdzie bądź. Pochwycone ponownie podmuchem wiatru i ciśnięte w korony drzew przydrożnych. Pozostawione tam miesiące, lata całe, straszą przechodniów swymi strzępami. Pochodzę z kraju, w którym już tylko listonosze jeżdżą na rowerach, a w nocnym sklepie wstyd bochenek chleba kupić, gdyż korytem do kas płynie rzeka alkoholu. Czy taki kraj rodzinny mam pokazać Julkowi?

Kraj, w którym matki zabijają swoje dzieci, a zwykle „dzień dobry” brzmi jak satyra na twarzach zdradzających prawdziwe myśli.

Roznarzekałam się okrutnie. A chciałam tylko spełnić dobry uczynek. Czy uda mi się dopomóc Beacie? Dobrze wiem, jak pragnienie miłości potrafi osuszyć serce. Dobrze wiem, że moja przyjaciółka żywi nadzieję, czeka na dalszy ciąg zdarzeń ze znajomym poznanym w Tunezji. A może niepotrzebnie próbuję doprowadzić do ich spotkania? Być może to Beata ma rację z tą swoją pewnością? Przecież to jej życie... Skąd we mnie to przekonanie, że są sobie przeznaczeni?

Czy ja w podobnej sytuacji oczekiwałabym pomocy od przyjaciółki?

A jeśli okaże się, że kompletnie do siebie nie pasują? A niech to! Przynajmniej będzie wiadomo, że wykorzystałam każdą okazję. Niech stanę się śmieszna „starą panną”, jeśli to w czymś przyspieszy sprawę. Już ja się poświęcę i podtrzymam rytuał rozmów z nieznanymi. Stawię czoło każdemu napotkanemu mężczyźnie z małą dziewczynką.

## Rozdział 16

Przedziwna siła pcha mnie ku dawnej rodzinnej tajemnicy. Nie mogę doczekać się chwili, w której pochwycę pamiętniczek Nastki i dobrnę do jego końca.

Gdy tylko zostaję w mieszkaniu sama, czym prędzej wyswobadzam szary brulionik. Jeszcze tylko uchylam okno i zauważam chrząszczyka na zasłonie.

– Zostawiliśmy cię w tym pośpiechu, biedaku. – Postanawiam zabrać go wieczorem do babci, kuferek też.

„Posłuchaj, Alali.

Już znowu jesteśmy razem! Ale on taki smutny i nie chce nic powiedzieć. Ludzie go oddali, bo niemowa. A Marcycś tylko udawał, ja to wiem. Jeszcze będzie mówił jak kiedyś. Dziękuję ci, kochana Alali. Ja wiem, że to wszystko dzięki tobie. Piszę do ciebie w komórce, bo tu nikt nie zagląda. Wiesz, mam nową kryjówkę na moje pisanie. To stara beczka w komórce po królach. Mój tatuś miał ich prawie setkę, nawet pamiętam, jak się kociły, wyglądały jak grube serdelki. Tyle że ślepe. Ale to było, jak tato żył, potem mamusia nie potrafiła ich zabijać. Chwycała za tylne łapy i wymachiwała jedynym, ale go tylko uszkodziła. Biegał jak szalony po podwórzu i tak dziwnie podskakiwał. Pamiętam, jak płakałam, strasznie żal mi go było”.

Dziadek najwyraźniej w szoku. Ciekawe, jak umarł pradiadek?

„Posłuchaj, Alali.

Jak mogłaś pozwolić, żeby mamusię ze dworu wypędzili? Znowu będziemy głodować. Dlaczego nikt mi nie wierzy? Ja nigdy bym ciebie nie ukradła. To sam pan mi podarował. A jak komu pisnę słówko, to pan będzie z Marcysiem to samo robił. Albo z mamusią. Tak powiedział. Boli mnie w środku od tego bicia, ale nie mogę mamusi powiedzieć prawdy, nie mogę. Boję się w komórce na noc zostać. Pomóż mi, Alali, moja ty księżno, dobra i kochana. Mamusiu. Już nie mogę pisać, ciemno się zrobiło. Boję się, już wolę batów więcej dostać, mamusiu!”

Jezu, Nastka zamknięta w komórce. To jej ostatnia notatka. Potem już tylko czyste kartki. Na ostatniej stronie znajduję dopisek. Ktoś inny dopisał parę słów: „Matka ze skutkiem śmiertelnym pobiła własne dziecko. Zgłosiła się do władz i będzie sądzona za zamordowanie dziecka”.

Koniec. To potworne! Kto dopisał końcową informację? W jaki sposób pamiętnik i lalka trafiły do rąk dziadka? Może babcia coś wie? Jak mocno trzeba bić, żeby zabić dziecko? Czy prababka była pijana? Tak zdruzgotana utratą pracy? Nie, nic jej nie usprawiedliwia. Tyle pytań bez odpowiedzi. Dziadek z pewnością wrócił do sierocińca. Ale los zgotowałaś dzieciom, „mamusiu”.

Nie wiem, czy wówczas obowiązywała kara śmierci. Jeśli nie, to i tak przebywała w

więzieniu do wybuchu wojny. A potem wiadomo, albo rozstrzelanie na miejscu, albo obóz koncentracyjny. Pomimo surowej kary, dziadek nie przebaczył. Zrzucił ciężar na moje barki. Czy motyla wymyślił czy widział naprawdę? Czyżby stary człowiek próbował mną manipulować?

Ja motyla widziałam jedynie we śnie, czy on istnieje w rzeczywistości? Dlaczego dziadek miałby wymyślać całą tę historię, jaki miałby w tym cel?

Kuferek wraz z Alali pojedzie ze mną, do domu babci. Jeśli Julek zechce, to ma prawo przeczytać pamiętnik Nastki. Jeśli zechce.

Istnieje jeszcze prawdopodobieństwo, że Julek już zna tę historię. Być może mama opowiedziała ją ze swojego punktu widzenia. Przecież musiała się jakoś tłumaczyć z faktu porzucenia całej rodziny. Nie sądzę, by Julek nie zechciał tego wiedzieć, myślę, że trzyma tę informację dla nas w zanadrzu. Poczekam razem z babcią, aż otworzy się przed nami. Tyle lat żyliśmy w niewiedzy, więc kilka dni nie zrobi już wielkiej różnicy.

## Rozdział 17

Zostawiam w redakcji tekst o Rudej i pędzę na Ursynów. Odszukuję ulicę i szkołę. Mam nadzieję, że mała znajoma Beaty uczęszcza do pobliskiej szkoły. Cierpliwie czekam, aż profesor od skrzypiec zarządzi przerwę. Wreszcie drzwi otwierają się, więc podbiegam do rozczochranego jegomościa.

– Proszę pana jestem z prasy. – Podaję identyfikator. – Chcę napisać artykuł o uzdolnionych młodych skrzypaczkach. W przyszłym tygodniu odbędzie się finał konkursu, czy któraś z pana uczennic zakwalifikowała się może?

– O tak, z dumą przedstawię pani naszą perelkę... Jaka jestem szczęśliwa. Jeszcze tylko wymyślę sposób, aby zaciągnąć Beatę na konkurs...

Pod blokiem samochód Filipa. Trudno, muszę jeszcze poczekać. Pukam do drzwi przyjaciółki.

– Gdzieście przepadli? Co z Rudą? – Tyle pytań na dzień dobry. Jednak ja obwieszczam o Julku. Podczas relacjonowania przebiegu wczorajszych wydarzeń płaczemy ze śmiechu.

– Beata, a ten znajomy z czasów odezwał się?

– Nic z tego. – Beata ucieka wzrokiem, przykro patrzeć na uparciucha.

– Nie pozwolę ci na nudę. Zarezerwuj czas na sobotę, będziesz mi potrzebna. Koleżanka z pracy wyjeżdża, a mnie zlecono parę wywiadów. Wiesz, takie tam dziecięce deklamowanie. Napiszę na kartce, o co pytać, bo sama nie dam rady porozmawiać z kilkorgiem naraz. Dasz sobie radę. – Nie daję jej szans dojścia do słowa. – A co z twoją reklamą?

– Kupili. – A to ci dopiero skromność.

– Cudownie, tak się cieszę. – Gratuluję przyjaciółce sukcesu.

– To co teraz? Jedziecie do Miławki? Wszyscy? – Beata nie kryje smutku.

– Wyrwij się, jak dasz radę. Posiedzimy tam razem. – Głośno wymawiam marzenie.

– Pomyślę, no leć już... Tylko nie mów bratu, kto zaopatrzył cię w gaz.

– Jakie leć, chodź, poznasz Julka. – Wyciągam ją niemal siłą z mieszkania.

Dwaj panowie wykazują wspaniałe humory i nieco spowolniałe ruchy.

– Wypiliście sześć piw!? – Dowody winy stoją w równym rzędzie na podłodze. – A kto będzie prowadził? Zwariowaliście, żeby we dwóch tak się ululać?

– Nie dwóch, tylko trzech, maleńka. – Filip wystawia rękę z chrabąszczem. Rzeczywiście owad kołysze się z boku na bok.

– Przecież może zdechnąć, pomyśleliście?

– Oczywiście. Zwierzęta posiadają wrodzony instynkt. Doskonale wiedzą, co im wolno, a czego nie. A jemu najwyraźniej smakowało. No, powiedz siostrzyczce szwagier.

– Tak więc, kochana – Zwracam się do Beaty – musisz przyjechać do Miławki. Tam mój

braciszek wytrzeźwieje. O ile ich dowiozę.

Po drodze część piwa paruje. Reszta zostaje wylana do przydrożnego rowu. Nie odzywam się skupiona na prowadzeniu nie swojego samochodu.

– Nie dąsaj się, Aldonka... Tak długo czekaliśmy na ciebie, a piwo to kupiliśmy na wieczór.  
– Filip naprawdę czuje skruchę.

– Przeczytałem twoją książkę. – Teraz podlizuje się braciszek. – Pięknie piszesz... Ale zauroczyła mnie historia o motyłu.

Zerkam w lusterko, by wybadać, co jest grane. Ale Julek uśmiecha się szczerze. Nie, nic nie wie.

Ruda wstaje na nasze powitanie. Cieszy się, merdając długim wystrzyżonym ogonem. Wygląda okropnie, ale babci wydaje się najpiękniejszym psem na ziemi.

Szykuje w kuchni kolację. Może chłopcy nie usną. Potrzebuję rozmowy, dojrzałam do niej. Chcę wiedzieć, dlaczego Julek pojawił się w naszym życiu.

– Nie gniewasz się już? – To Julek. – Nic nie mówisz, o nic nie pytasz, nie chcesz wiedzieć?

– Po prostu dozuję sobie atrakcje. Ostatnio mam wiele spraw do przemyślenia. Dlatego milczę.

– Mam taką wspaniałą siostrę. Piękną, mądrą i dumną.

– To według ciebie zaleta? Dumę łatwo pomylić z wyniosłością. To dlatego mam niewielu przyjaciół.

– Wierzysz w przyjaźń między rodzeństwem? Bo ja po nią przyjechałem. Odkąd wiem o twoim istnieniu, o niczym innym nie marzę. – Zaskakuje mnie swoją szczerością.

– Zawsze możemy się przekonać. Julek, ile ty właściwie masz lat.

– Dwadzieścia jeden. Coś jeszcze?

– A czy mamy jakieś... rodzeństwo? – Dlaczego tak trudno pytać?

– O ile mi wiadomo, nie...

– Od kiedy wiesz o mnie? Mama ci powiedziała?

– Tak, ona. Jak możesz po tym, co ci zrobiła, mówić „mama”?

– A cóż takiego mi zrobiła? Miałam cudowne dzieciństwo, dziadkowie mi je zapewnili. To ona miała zapewne wyrzuty sumienia, to ona sobie TO zrobiła, rozumiesz?

– Wybaczyłaś jej? – Julek jest wyraźnie zaskoczony moim stanowiskiem.

– Nie wiem, czy mam CO wybaczać! Skąd mam wiedzieć, jaką by mi była matką? Może lepiej się stało, jak się stało...

– No wiesz nie wpadłbym na to. Chciałbym być podobny do ciebie.

– Nie martw się, pewnie też zmądrzejesz, jak coś przeczytasz.

– Co takiego?

– Pamiętasz? Ja dozuję atrakcje. Ale masz to jak w banku, obiecuję. – Przytulam głowę do jego głowy.

Kolacja mija w przyjemnej atmosferze. Filip bez przerwy ziewa, przepaszając, że nie może

się pohamować.

– Pani Skowrońska mówiła o szwagrze, który jest weterynarzem. Miał tu zajrzeć. – Umawiając się na zastrzyk, dowiedziałem się o jeszcze jednym lekarzu w rodzinie sąsiadów.

– O tak, był tu. Bardzo miły człowiek. Powiedział, że Ruda na szczęście jest kundlem, bo gdyby była rasowa, to nie miałyby szans na wyzdrowienie. Według niego tylko kundle są tak silne. – Mądrała.

– A, zapomniałbym, poskarżył się na młodą kobietę, która go dzisiaj rano zaczepiła i wyzwala, czekaj, jak on to powiedział, a „męski szowinista”. Wiesz coś na ten temat Aldonko?

– A to kłamca! Wymyślił to sobie. Miał tylko wytłumaczyć córce, co oznacza słowo „szowinista”. Przysięgam, babciu. – Kładę rękę na sercu, by dała wiarę moim słowom.

Panowie z pełnymi brzuchami drzemią w fotelach, a my z babcią krzątamy się w kuchni. Jak dawniej.

– Jakim cudem dziadek wszedł w posiadanie kufierka? Przecież to niemożliwe, aby dziecko upilnowało tak cenne przedmioty. Kiedyś mi opowiadał o latach spędzonych w sierocińcu...

– Po latach wrócił tam. Rozmawiał z mieszkańcami dworu, w którym służyła jego matka.

– Pewnie z panienką Julitą...

– Więc jesteś już po lekturze pamiętnika? – Babcia przyciąga mnie, kołysząc lekko na boki. – Bardzo ci ciężko?

– Nie potrafię określić, co czuję dokładnie, mam tyle pytań do dziadka, ale wiem, że on już mi nic nie wyjaśni...

– Pytaj, jeśli tylko będę mogła ci pomóc...

– Czy dziadek mówił prawdę o motylu? Babciu, czy znałaś wcześniej tę relację z pogrzebu?

– Oczywiście, jeszcze przed ślubem podzielił się swym bagażem. Oboje nie mieliśmy łatwego dzieciństwa. A nieszczęścia zbliżają ludzi. Dzisiejsi młodzi ludzie, pozbawieni prawdziwych przeciwności losu, zbyt łatwo rezygnują przy pierwszych niepowodzeniach.

– Zastanawiałam się, czy małe dziecko, jakim wówczas był dziadek, nie uległo przypadkiem złudzeniu. To takie nierealne.

– Możesz być pewna, że o motylu usłyszałam wiele lat temu, nawet jeśli był wytworem fantazji, to był on właśnie taki jak w twoim śnie.

– Poszukuję tej baśni o Alali. Matka Filipa rozpytuje wykładowców i studentów interesujących się dawnymi podaniami z rejonu południowej Francji. I jest jeszcze coś... Powiedz, babciu, kto dopisał notkę o morderstwie?

– Nie myśl, że to dziadek. Zrobiła to ta panna z dworu. Twoja prababka przed pójściem do komisarza w sprawie przyznania się do winy wyblagała ją, by przechowała dla syna pamiętki. Była pewna, że Marcyś tam kiedyś powróci. Julita, świadoma spełniania ostatniej woli kobiety, przysięgła to uczynić. Włożyła pamiętnik wraz z lalką do kufierka i czekała. Marceli miał trochę szczęścia, bo niedługo po jego wizycie dworek przejęli Niemcy. Gdyby znaleźli kuferek, zapewne zużyliby go na podpałkę, jak uczynili z książkami. Podczas ewakuowania się podpalili

zabudowania. Do dzisiaj stoją ruiny.

– A czy po wojnie dziadek wrócił w rodzinne strony?

– Tak, chciał odszukać grób Nastki i go znalazł. Zachowało się kilka mogił i dzięki tej wizycie grób ocalał przed powtórny zagospodarowaniem na użytek nowego cmentarza.

– Czy dziadek odwiedzał jeszcze...

– Oczywiście, kochanie, jeździł tam. Czasem kilka razy w roku. Niezbyt ufał ludziom opiekujący się grobem siostry. Ale oni byli uczciwi, musiał to przyznać po każdym powrocie stamtąd.

– Chcę tam pojechać. Może Julek zechce poznać naszą historię? Mama chyba nic mu nie mówiła.

– Też tak myślę. Pytałaś o matkę? – Babcia patrzy mi prosto w oczy.

– A czy ty pytałaś o córkę? – Mierzymy się wzrokiem. Obie doskonale wiemy, że jeśli nie istnieje naprawdę ważny powód jej milczenia, to nie chcemy słyszeć o wykrętach w stylu „czas tak szybko mija”, albo „zawsze o was myślałam, chciałam mocniej stanąć na nogi i wtedy... „ Nie potrzebujemy tłumaczeń zwykłych, a te niezwykle po prostu nie istnieją. Najprościej nie wiedzieć, wtedy to, co się czuje, pozostaje w zawieszeniu jak mgła, która opada, a jutro pojawia się znowu. A wraz z nią miliony kropelek nadziei.

– Nie mam odwagi... Chciałabym wiedzieć, czy zapanowała nad porywcznością. Pamiętnik .

Nastki ją odmienił, przestała słuchać, zrobiła się harda i taka bezwzględna. Poznała innych młodych ludzi, przyjęła ich normy, ot tak odrzuciła dotychczasowe zasady, zarzuciła szkołę, a gdy protestowaliśmy... wyprowadziła się.

– A potem pojawiła się ze mną?

– Tak, zostawiła cię u nas. Nie wiedzieliśmy o twoim istnieniu, mogła porzucić cię gdziekolwiek. A jednak przyszła tu. Mówiła, że nadarza się okazja wyjazdu, poprosiła o zaopiekowanie się tobą jakiś czas. Planowała powrót.

– A dokąd się wybierała?

– Do Niemiec, a potem do Grecji. Dowiedzieliśmy się, że w obozie dla uchodźców czeka na wizę do Ameryki. Od tamtej pory cisza. Nasze listy wracały z powodu nieznanego miejsca adresatki.

– A jednak po latach przysłała Julka. Może wydarzyło się coś ważnego w jej życiu... ? – Wyglądamy z kuchni, by spojrzeć na niezwykłego posłańca chrapiącego smacznie w fotelu.

Po chwili wracam myślami do pamiętnika Nastki.

– Babciu, zastanawia mnie coś. Nastka w swoich zapiskach zawsze używała sformułowania „mamusia”. Nigdy nie nazwała jej „mamą” albo „matką”. One musiały się bardzo kochać. We troje razem z dziadkiem...

– Masz rację, odniosłam podobne wrażenie. Dla tego podejrzewam, że zrobiła to w amoku, pijackim szale, sama nie wiem...



– Przecież ten rządcą celowo uzależnił ją od alkoholu lub narkotyków. Jeśli tylko miał znajomego lekarza...

– Pamiętaj, że nic jej nie usprawiedliwia. Zresztą sama postanowiła ponieść karę.

– To dlaczego dziadek nie uznał jej za biedną nieszczęśliwą kobietę? Dlaczego nigdy jej nie wybaczył? To niepodobne do niego.

– Myślę, że siostra była całym jego światem, a matka mu ten świat odebrała. I zostawiła samego, zdanego na cudzą łaskę.

– Ja przynajmniej miałam was... Kocham cię, babciu... – Całujemy się na dobranoc.

Przechodząc korytarzykiem do mojego pokoju, słyszę delikatny chrzęst dobiegający z kwietnika. No ładnie, to mój chrapaszcz pałaszuje z apetytem listek bluszczu.

– Mój drogi, leć ty sobie do swoich, zanim babcia zorientuje się, że nie jadasz zdechłych much.

Sięgam po nieboraka i wypuszczam przez okno w noc.

## Rozdział 18

Sen funduje mi przejażdżkę autobusem. Stoję przy oknie, obserwując przesuwane się obrazy. Zapamiętuję dopiero co stawiane ogrodzenie, robotników pijących piwo, starszych ludzi siedzących na ławeczkach rozrzuconych wzdłuż Wisły. Przymykam oczy, a po przebudzeniu rozpoczynam podróż od nowa. Znajome ogrodzenie, za nim pierwsze ukwiecone mogiły, ci sami robotnicy z butelkami przy wargach, ciut opustoszałe ławeczki. Ponownie zapadam w sen, a gdy otwieram oczy, tkwię z nosem przy szybie autobusu. Z przerażeniem notuję obraz kolejnych świeżych grobów, puste ławeczki, grabarzy kiwających do nas, pasażerów, kościstymi palcami. Odwracam głowę, by nie widzieć tej niemej zachęty. I znów usypiam. Lecz sen nie przynosi ukojenia, przebudzam się bardzo zmęczona i słaba. Próbuję unieść powieki. Nie mogę. Za ciężkie. Nie potrafię otworzyć oczu! Jak ciemno! Kto mi pomoże?!

– Obudź się, kochanie! – Filip szarpie mnie za rękaw. – Uspokój się, coś złego ci się przyśniło. – Siadam na łóżku, tulę się do kochanego.

– Dlaczego jesteś ubrany?

– Oglądałem telewizję... – Ale kłamczuch, aż się kurzy.

– Wiesz, śniło mi się... chyba umieranie. Nie było żadnego światełka w tunelu, tylko ciemność. Muszę pojechać na grób Nastki. To siostra dziadka, cudowna dziewczynka... – Opowiadam tyle, ile sama wiem. A potem szlocham, bo płacz przynosi ukojenie. I jeszcze budzi Rudą, która przyczołguje się do moich nóg i dałabym słowo, płacze razem z nami.

Ustępująca noc osusza nasze twarze i pozwala mackom świtu ugłaskać nas do snu.

Wymykam się spod kołdry i wskakuję pod prysznic. Jaka to wygoda mieć łazienkę pod bokiem. Rozpiera mnie miłość i ufność. Dobrze zrobiłam, zwierając się Filipowi. Chce mi się śpiewać, głośno oznajmić, co czuję. Z ust wyrывa mi się piosenka Basi:

– „Naszą miłością podbijemy glob Londyn, Warszawę albo Nowy Jork. Spójrz tylko – wszyscy w krąg ..

Chcą być kochani i kochać chcą.”\* [„Copernicus” – słowa Basia Trzetrzelewska (przyp. autora).] – Pewnie ciut fałszuję.

A Filip i tak śpi. Może to go obudzi?

– Aaaa... ła... ! – wrzeszczę, jakbym zobaczyła pająka.

– Co się stało!? – Zaspany narzeczony melduje się w łazience.

– Nic, tylko nie szoruj tak mocno mi pleców... – uprzedzam ze śmiechem.

– Fakt, cieszyłaś się na to mycie. Dawaj gąbkę, wariatko... Ty się będziesz tłumaczyła. – Filip wskazuje głową wyjście.

Jednak warto było dla takiego masażu pokrzyczeć. Powolutku nadrobimy stracone dwa lata.

Smażę jajka sposobem, który podejrzalam na jakimś filmie. Na odrobinie oleju rumieniem

drobno pokrojoną paprykę, zalewam rozbełtanymi z pieprzem i solą jajkami. Przykrywam i smażę na wolnym ogniu pod przykrywką. Filip kroi pieczywo, a Julek zaparza herbatę. Sielanka.

– Pycha, zaskakujesz mnie, Aldonko. – Babci smakuje. – Ach, miałam spytać. Czemu tak krzyczałaś na górze, czyżbyś zobaczyła mysz?

Chyba się rumienię. Z opresji wybawia mnie Filip.

– To pani nie wie? – pyta zdziwiony. – Aldonka zawsze, gdy TO robi rano, to krzyczy.

Nie mogę uwierzyć własnym uszom! Rzucam gniewne spojrzenie.

– Nieprawda! Podrapał mi plecy przy myciu... Dowcipniś! – Mam ochotę kogoś rozszarpać.

– Uspokój się, Aldonko. Może trudno w to uwierzyć, ale i ja byłam kiedyś młoda – godzi nas babcia.

Komórka Filipa odrywa go od śniadania. Po krótkiej rozmowie podaje telefon mnie. Zdziwiona przykładam go do ucha.

– A, to pani. – Dzwoni matka Filipa z wiadomością o odnalezieniu baśni o Alali. Mam wyrzuty, że tak wstrętnie o niej myślałam.

Chwilę zastanawiam się, co robić. Powinnam porozmawiać z Julkiem. Już najwyższy czas, by przeczytał pamiętnik Nastki.

– Jadę do Warszawy. Twoja mama umówiła mnie z kimś... – Zerkam porozumiewawczo to na babcie, to znowu na Filipa.

– Może Julek pojechałby z tobą? Ja popracuję nad tekstem. – Mój kochany Pan Domyślny.

– Pewnie, że jadę. – Oczy Julka zdradzają ogromną radość.

Ruda czuje, że się gdzieś wybieram. Spogląda smutno, czym doprowadza mój wysoki poziom adrenaliny do stanu równowagi. Przykucam obok niej, obiecując przywieźć jakiś smakołyk. Ale Ruda jest nieprzekupna, bo w dalszym ciągu spogląda z żalem na torebkę w mojej ręce. Szepczę do psiego ucha tak długo, aż ożywia się i weseleje.

– Co jej powiedziałaś, czarownico? – No cóż, skoro chcesz wiedzieć...

– Tylko to, że będziesz ją znosił na rękach do ogrodu. Nie będzie więc musiała sikać w pampersy. – Ona naprawdę mnie zrozumiała.

Ogromnie cieszy mnie perspektywa spędzenia dnia z bratem. Jezu, ja faktycznie mam BRATA!

– No to mów wreszcie. Skąd przyjechałeś, gdzie się wychowywałeś, gdzie uczyłeś? – Zarzucam Julka pytaniami nurtującymi mnie od chwili poznania go – Mieszkałem w Kanadzie, Brazylii, Argentynie, wszędzie tam, gdzie zabierali mnie rodzice.

– Bujasz, normalni ludzie... Chociaż... Mieszkałeś tu w najdroższym hotelu, wypożyczyłeś niezły wóz... Forse to ty masz? – Spoglądam podejrzliwie.

– To pieniądze rodziców. Wyłożyli na tę podróż, ale pod warunkiem, że wrócę do nich. Jeszcze nie wiem, gdzie mnie będą oczekiwać, ale na pewno będą...

– Czemu jesteś taki ta... Zobacz, co on wyprawia?! Wariat! Chyba chce nas pozabijać! – Jadący obok czarny samochód, chyba bmw, wyraźnie spycha mnie na pobocze. Początkowo

próbuję przyspieszyć, lecz tamten dorównuje i ociera się o nasz tylny zderzak. Mam niezłego pietra. Hamuję. Niech idiota jedzie na złamanie karku. Mam ochotę zatrzymać się i rozplakać, jednak biorę się w garść. W końcu jestem starszą siostrą!

– Widziałeś, jak on na ciebie patrzył? Jakby ci groził? – Jednak Julek nie widzi problemu.

– Nic się nie stało... Może uczył się wyprzedzania? – uspokaja mnie trochę.

– Może rzeczywiście uległam panice. – Po chwili decyduję się zadać TO pytanie. – Powiesz mi, skąd wytrasałeś te idiotyczne okulary?

Rozweseleni i rozluźnieni dojeżdżamy pod wskazany przez matkę Filipa adres. Wsiadam i oglądam rysę zrobioną przez czarny wóz.

– Mam nadzieję, że Filip wiedział, czym ryzykuje, dając nam swój samochód... – Julek poklepuje mnie po ramieniu.

– Naprawdę dobrze prowadzisz... To nie była twoja wina. – Jestem wdzięczna za miłe słowa.

– Ja otrzymałam pierwszą porcję informacji od ciebie... Teraz moja kolej. Idziemy do pewnej pani profesor, znawczynie literatury dziecięcej. Szukamy opowieści o Alali, rybackiej córce. Potem wytłumaczę ci po co. Zgoda?

Drzwi otwiera kobieta po pięćdziesiątce z krótko ostrzyżonymi, czarnymi włosami. Przedstawiam siebie i brata. Przemiała pani profesor pamięta imię Alali. Jest przekonana, że występuje ono w tytule baśni. Jakieś dwadzieścia lat temu spotkała się z pisarką noszącą takie samo nazwisko co autor „Zaczarowanej drożki”, która namiętnie gromadziła wszelkie podania i opowieści znad Morza Śródziemnego.

– Jest gdzieś tutaj... – Miła pani wskazuje regały zavalone od sufitu po podłogę książkami. – Proszę się nie przerażać, zaraz podam kilka z nich do przejrzenia...

Siadamy z Julkiem przy stole, na blacie którego rośnie stos opasłych ksiąg. Zaczynam wertować spisy treści, wypatrując imienia Alali. Jedna, druga, trzecia. Nic. Po kilku próbach zerkam z prośbą w oczach na Julka. I wtedy mój brat podnosi pierwszą lepszą książkę, zagląda na ostatnią stronę i podsuwa mi ją pod nos, wskazując palcem jedno słowo: Alali. Tytuł baśni brzmi: „Pierścionek Alali”. Z walącym sercem odczytuję dopisek: baśń prowansalska. Jestem prawie pewna, że to TA baśń. Błagalne spojrzenie w kierunku pani domu otwiera kolejne wrota uprzejmości.

– Zostawię państwa, byście w spokoju ją przeczytali. W razie czego będzie można skorzystać z usług ksero, niedaleko stąd.

Zostajemy sami nim wykrztuszam słowa podziękowania.

– Julek, naprawdę doceniam twoją cierpliwość. Daj mi jeszcze tylko chwilkę, bym mogła przekonać się czy to ta? Proszę, pięć minutek? – Julek na znak zgody otwiera pierwszą z brzegu księgę i zabiera się do czytania. Ja pochłaniam baśń prowansalską. Już początek wróży powodzenie. Bohaterka „Pierścionka Alali” jest córką rybaka, która po śmierci ojca przejmuje na siebie obowiązek utrzymania siebie i matki. Przejeżdżający brzegiem morza ksiądz Bertrand zakochuje się w śpiewie ślicznej rybaczkii i postanawia podarować jej pierścionek z

akwamarynem, kamieniem, który ma barwę oczu Alali. Po krótkim czasie stęskniony książę sprowadza dziewczynę do zamku, stroi w kosztowne suknie, uczy dobrych manier. Nie zdaje sobie sprawy, że zazdrosne panny dworu knują przeciwko dawnej rybaczce spisek. Posadzona o zdradę oblubienica zostaje wepchnięta do lochu. Tam rozpacza nad swym losem, wspomina ukochanego, całuje podarowany na początku znajomości pierścionek. Akwamarynowe oczko zamienia się w niebieskozielonego ptaszka i leci wprost do komnaty zaślepionego zazdrością Bertranda. Książę wysłuchuje słów wysłannika Alali, pojmując, jak bardzo skrzywdził dziewczynę, wierząc w oszczerstwa dam dworu. Odnajduje ją w podziemiach zamku i prosi o wybaczenie...

Bardzo wzruszająca historia miłości. Ze wspomnień Nastki wynika, że to ta sama baśń. Stara wiejska gawędziarka urzekła dziewczynkę tą opowieścią. Mała, ujrawszy lalkę panny Julity, utożsamiała ją z baśniową Alali i uczyniła swoją powierniczką.

– Julek, odbijemy tekst i wracamy do babci. Po drodze wszystko ci wyjaśnię, dobrze?

– Żałuję, że mama nie czytała mi bajek. Teraz jestem już na nie za stary. – Zamyka grubą księgę wyraźnie zawstydzony swoim zaczytaniem się.

W samochodzie rozpoczynam zrzucanie ciężaru... z całej siebie. Dziadek miał rację, mówiąc, że trudno żyć z taką schedą. Nie miał jednak pojęcia, że zjawi się pomocnik, mój brat.

– Czy mama powiedziała ci, dlaczego odeszła z domu? Czy wspomniała ci kiedyś o pamiętniku? – Zdziwione spojrzenie mówi samo za siebie. Jest zielony jak mijany właśnie sygnalizator świetlny.

Mówię przez całą drogę powrotną. Staram się obiektywnie przedstawić obraz naszej prababki, jednak on kwituje moje wysiłki jednym słowem.

– Smok. – Tylko tyle ma do powiedzenia?

– Jaki smok? – pytam, by uściślić odpowiedź Julka. – Smoki to takie bajkowe stwory. Zioną ogniem, ale czasem bywają i dobre smoki, którego miałeś na myśli?

– Jasne, że złego smoka. – Domyślam się, że zabrakło mu polskiego słowa. – Chciałeś powiedzieć: POTWÓR?

Julek kiwa z zadowoleniem głową.

## Rozdział 19

Babcia nie kryje ciekawości.

– I co, Aldonko, znalazłaś? – Zagląda mi w oczy, by jak najszybciej wyczytać wieści.

Wyciągam z torby złożone kartki i podaję babci niczym relikwie.

– Udało się, to ta sama baśń. Zgadza się wiele szczegółów. Powiedziałam mu... – Wskazuję głową na smutnego Julka.

– Zjawiłeś się w momencie naszego powrotu do niechlubnej przeszłości... Jesteś taki młody.

– Babcia spuszcza głowę. Domyślam się, o czym myśli. – Dla waszej mamy to był szok, mam nadzieję, że ty jesteś silny.

Julek wyraźnie ucichł, wydaje się, że starannie dobiera właściwe słowa.

– Jestem dorosły, przygnała mnie tu tęsknota za czymś, co mi odebrano. Wyobrażałem sobie, że zastanę żal i pretensje. Chciałem jakoś wytłumaczyć matkę, przeprosić za nią, a tu nikt nie oczekuje wyjaśnień. To dla mnie szok!

– Julek, zrobiłeś nam taką niespodziankę! Nie widzisz, jakie obie jesteśmy szczęśliwe z powodu twojego przyjazdu? Zobacysz, dawne sprawy nie zmacą naszej radości. Nie traktuj swojej wizyty jak misji, bo nie zmienisz świata. Matki nadal będą porzucały swoje dzieci i zawsze wymyślą dla siebie usprawiedliwienie. Inaczej nie mogłyby dalej żyć. Przecież domyślam się, że nasza mama nie jest świadkiem koronnym, ani że boi się turbulencji w samolocie. Zamiast zadręczać się, szukać powodów jej odejścia, postanowiłam nie mieć żalu. Rozumiesz? To jakbym miała raka i zadręczała się pytaniem: dlaczego ja? Wolę cieszyć się z tego, co mam, niż zastanawiać, ile straciłam.

– Chyba masz rację, na niektóre pytania lepiej nie znać odpowiedzi. Nie będę jej tłumaczył...

Babcia przyciąga nas do siebie. Tkwimy przez chwilę skroń przy skroni, aż nasze pulsy dogadują się co do wybijanego rytmu.

Podczas późnej kolacji opowiadamy o uprzejmej pani profesor. W końcu jednak muszę przyznać się do zadrapania na lewym błotniku opla. Próbuję zbagatelizować całe zajście, jednak w chwili napo mknącica o czarnym bmw, Filip zaskakuje nas swoim spostrzeżeniem.

– Takie samo auto kręciło się dzisiaj koło domu. Nawet przystanęło, więc pomyślałem, że błądzi.

– Nie łączyłbym tych przypadków ze sobą – wtrąca się Julek. Wyczuwam jednak pewne zdenerwowanie w głosie. Nagle mój brat odwraca twarz w kierunku Rudej. – Patrzcie, znudziła jej się dieta.

Ruda rzeczywiście przyczłapuje do stołu i wlepia błagalny wzrok w jego talerz.

– O nie, moja droga. Mogłoby ci zaszkodzić smażone mięso. – Filip dobrze wie, że psina musi być jakiś czas na diecie.

– A może teraz zamiast CZARNEJ WOŁGI, jeździ CZARNE BMW i porywa małe śliczne panienki? – próbuję powrócić do epizodu z samochodem.

Julek nie wie, o czym mówię, bo niby skąd mógłby znać plotkę sprzed lat?

– Jaka CZARNA WOŁGA?

– Jak byłam mała, po Polsce kursowała plotka o radzieckiej limuzynie, do której rzekomo wciągano ludzi i porywano ich. Niektórzy przysięgali, jakoby widzieli na własne oczy takie zajścia. Wiesz, ludzie ubarwiali sobie szarą egzystencję, a inni mieli temat do rozmowy.

Uśmiecham się do wspomnień. Jednak mój brat nadal zachowuje powagę. Coś go gryzie i muszę to z niego wyciągnąć.

A jednak. Malutkie nasionko niepewności spadło na przychylny grunt. Ogarnia mnie rozterka, której sobie nie życzę. Czemu na przekór komorom i przedsionkom serca, obie półkule mózgu szykują tarcze obronne? Czy Julek rzeczywiście jest moim bratem? Tak bardzo chciałabym, żeby to była prawda... Odrącam zły humor.

– Ręka w górę, kto jedzie ze mną na grób Nastki? – Po chwili ciszy rozbrzmiewa chórek męski.

– Gdzie?!

Czekam, aż babcia podzieli się z nimi tajemnicą skrywaną przez dziadka.

– Jeśli poczekać dwa dni, to chętnie zabiorę się z wami. – Filipowi najwyraźniej przypadł do gustu pomysł podróży w przeszłość.

– Ostatecznie możemy poczekać, prawda, siostrzyczko? – Julek najwyraźniej rozluźnił się.

Babcia z konspiracyjną miną podaje Rudej kawałek kotleta na widelcu. Myślę, że wymizerowana sunia skradła jej serce.

– Jedz na zdrowie. Jak się ma na coś ogromną ochotę, to na pewno nie zaszkodzi. – Na wszelki wypadek nie patrzy jednak na Filipa.

W ogrodzie tak pięknie. Królowe kwiatów powoli otwierają pąki, by przyćmić poddanych urodą i zapachem.

– Spójrz na niebo. – To Julek odnalazł mnie zaszytą w kącie babcinego królestwa.

– Pięknie. Wymalował je prawdziwy malarz, musiał mieć ze... trzy latka. – Rzeczywiście nie widziałam jeszcze tylu szarych plam i różowych ognisk rozpalonych na niebie. A pomiędzy nimi wyraźne ślady pociągnięć pędzla unurzanego w ledwie rozmieszanej czerni z bielą. – Czy Bóg nie jest małym dzieckiem zaspokajającym swe chwilowe kaprysy? To by wiele tłumaczyło, jak sądzisz?

– A wiesz, że możesz mieć rację? – Zadzieramy głowy zapatrzeni w gasnące różowe ogniki. Przypominają żarzące się światełka latarek zaopatrzone w wyczerpujące się baterie. Po chwili w górze panuje tylko szarość. Czy taki obraz nieba kiedykolwiek się powtórzy?

Po minutce obopólnych rozmyślań zachęcam Julka do zwierzeń.

– Powiedziałaś babci, że wiesz o nas od roku. Dlaczego ci powiedziała akurat wtedy?

– Nasza matka myślała, że umiera.

– Co? Umiera? Ale przecież nie umarła? Prawda? – Dlaczego wpadam w panikę, że nigdy jej nie ujrzę?

– Pewnie, że nie. Miała wypadek samochodowy, była ciężko ranna. Lekarze uznali to za cud, że przy tylu wewnętrznych urazach przeżyła. Przeszła kilka operacji, nadal odczuwa skutki...

– Jest kaleką?

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem, tak pomyślałam.

– To nie myśl. Ona nigdy nie poprosiłaby ciebie o pomoc.

– Gdzie teraz mieszkacie?

– Wyjechałem z Kanady, ale nie jestem pewien, czy nadal tam będziemy mieszkać.

– Jesteś taki tajemniczy, czasami napadają mnie wątpliwości, ale zaraz je odrzucam. Ja po prostu chcę mieć brata... – Nie chciałabym urazić Julka, ale otacza go aura osobliwości, jakby przybył z innej planety.

– Ty wiesz, że od momentu, w którym dowiedziałem się o twoim istnieniu, pokochałem cię jak siostrę, zdałem sobie sprawę, jak często matka próbowała mi o tobie powiedzieć. Od dawna cię tu nosiłem. – Julek kładzie rękę na sercu.

– Ja nie miałam żadnych przeczuć. To był szok... – Obydwoje nie należymy do klubu gawędziarzy. Stoimy w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. A przecież chcemy wiedzieć o sobie jak najwięcej. Może to u nas rodzinne?

– Dobrze mówisz po polsku. Czy twój tata... No wiesz, czy jest Polakiem? – Próbuję powstrzymać napływające łzy.

– Zgadza się. Mówimy w domu tylko w naszym języku. Matce bardzo zależało, żebym dobrze mówił po polsku. Może już dawno planowała powrót? A tymczasem jeździmy po świecie, co dało mi możliwość nauki kilku innych języków.

– Dziwne to wszystko. Jeździcie po świecie, pewnie twój ojciec jest dyplomatą?

– Nie, jest budowlańcem. Tak się to mówi? Wyszukuje rezydencje przeznaczone do remontu, przywraca im blask i sprzedaje. Robi to znakomicie, tylko że kolejne domy rozrzucone są po kilka tysięcy kilometrów od siebie. Tego właśnie nie mogę zrozumieć.

– Mnie też to zastanawia. Czemu po prostu nie spytasz ich o to?

– Oczywiście, że pytałem. Za każdym razem była to superokazja. Zresztą oni nie widzą w tym nic dziwnego, lubią takie zmiany.

– To znaczy, że w Kanadzie kończyli remont jakiegoś domu? Jezu, przecież oni żyją jak Cyganie, albo spóźnieni hippisi. A ty? Kiedy planujesz powrót?

– Chciałbym tu jeszcze pobyć z tobą, babcią... Muszę się jednak liczyć z rodzicami. – Wyczuwam, że coś tu nie gra.

– Przecież jesteś dorosły.

– Masz rację, tylko oni nie chcą w to uwierzyć. Przejdę się trochę, a potem przyjdę po pamiętnik, zgoda?



Dobrze, dobrze, tylko dlaczego nie jesteś do końca szczery, braciszku? Wyraźnie słyszę toczący się wóz z wyłączonymi reflektorami. Gdy rozchylam żywoplot, widzę, jak wsiadasz do ciemnego kształtu. Po kuferek zjawiasz się dopiero po godzinie. Z kim miałaś randkę, bratku?

Dzielię się wątpliwościami z Filipem. I wychodzę na wścibską babę.

– Może chłopak zadarł z jakimiś łobuzami, może pożyczył forszę i ma kłopot ze spłatą długu? Albo urwał się ze smyczy tatusia... Nie zdziwię się, jak jego stary wypożyczy sobie ciebie na rozmowę i poprosi o niezawracanie głowy jego synalkowi starymi bajkami.

– No wiesz, chyba nie mówisz poważnie?

– Zastanów się, widziałaś dwudziestolatka nieuzbrojonego w telefon komórkowy? Taki światowy chłopak i bez komórki? W taką drogę bez kontaktu z rodzicami? Coś mi tutaj śmierdzi, może twoja matka nie wie, dokąd on się wybrał?

– Dlaczego miałyby nas okłamywać? Jaki może mieć cel tej podróży, jeśli nie poznanie własnych korzeni?

– Nie wiem, wydaje mi się jednak, że nie mówi nam wszystkiego.

– Tak naprawdę, to on w ogóle niewiele mówi. A z drugiej strony i ja nie nalegam na ciągłe wynurzenia i spowiadanie się z całego życia.

– Dajmy mu trochę czasu, może sam powie, co go łączy z facetem z czarnego bmw.

– Dobra, damę mu dwa dni. – Chciałabym pojechać w rodzinne strony dziadka już bez tajemnic i niedomówień.

Szczerze mówiąc, to, czego dowiedziałam się o mamie, nie zrobiło na mnie większego wrażenia. Nawet nie chcę znać więcej szczegółów z jej życia. Wygląda na to, że wskutek wypadku i zagrożenia życia wygadała się przed synem, a później nie udało się jej wywinąć od tłumaczeń. Jak można tak żyć? Nie mieć swojego miejsca na ziemi, wyrzec się korzeni i gnać za mężem, jak to powiedział Julek – budowlańcem, z jednego kontynentu na drugi.

Nie. Jednak czuję się rozczarowana. Oszukana. Niekochana. Gorsza. Nieszczęśliwa jak cholera i wściekła!

## Rozdział 20

Dwa dni ciągną się jak makaron ze starego filmu. Filip całymi dniami przesiaduje w redakcji. My z Julkiem wertujemy pamiętnik, mając nadzieję, że wspólnie wydedukujemy sens postępowania prababki. Z niecierpliwością oczekuję dnia wyjazdu, mam przeczucie, że wydarzy się coś niezwykłego. Może spotkamy kogoś, kto znał przed laty naszych dziadków? Przecież ich rówieśnicy mogą mieć po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, a tacy ludzie często pamiętają dziecięce czasy.

Rozmowy z Julkiem ograniczam do spraw naszej wyprawy. Cierpliwie czekam, aż wyjdzie z inicjatywą podzielenia się informacją na temat wieczornych randek w czarnym wozie. Wyobraźnia podpowiada wiele scenariuszy, nie wykluczając ewentualnego spotkania z moją mamą. Może dlatego nie czuję się zagrożona, intuicyjnie ufając bratu.

Dobrze się składa, od jutra Filip ma wolne. Zdążę przed naszą wyprawą pójść na finał konkursu młodych skrzy paczy. Zadomowiona u babci Ruda nie wyraża sprzeciwu, gdy pakujemy się z Julkiem i Filipem do samochodu. Polubiła wylegiwanie się na trawce na słońku.

Po kilku minutach jazdy Filip ruchem głowy nakazuje mi zerknąć w lusterko. Tuż za nami dostrzegam czarne bmw. O nie, tego już za wiele!

– Julek, czy możesz nam powiedzieć, o co chodzi? – Odwracam się poirytowana, wskazując palcem wóz za nami.

– To ochroniarze. – Nic, tylko ochroniarze. Normalka.

– Co oni tu, do cholery, robią? Kogo pilnują?

– Nas. – Spokojny ton Julka całkiem wyprowadza mnie z równowagi.

– Jak to nas?! I od kiedy to ochroniarze najeżdżają na czyjś samochód, strasząc kierowców, co?! – Wydzieram się, słysząc te brednie.

– To było ostrzeżenie. Dla mnie. Powiniennem ich zawiadomić o planach wyjazdu. A wtedy ich zignorowałem, dlatego się wściekli.

– A czy dzisiaj raczyłeś się opowiedzieć? Po co tu właściwie przyjechałeś? – Niemalże wrywam kierownicę Filipowi z rąk.

– Zatrzymaj się, jak będziesz mógł! O, tam widzę tablicę parkingu.

Filip posłusznie wjeżdża w las i zatrzymuje się przy prowizorycznych ławeczkach okalających resztki stolika. Czarny wóz parkuje za nami. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego zachowujemy się tak beznadziejnie. Przecież w tym lesie nikt nas nie usłyszy ani nie znajdzie przez dziesięć lat. Z drugiej strony brak motywu dla ewentualnych morderców. Pozostaje mi wysłuchać brataniebrata. Odważnie patrzę Julkowi w twarz.

– No, słuchamy cię. Co masz do powiedzenia?

– Nie bądź taka harda.... Przepraszam, jeśli was przestraszyłem. To jest ich praca... – Julek

pokazuje swoim aniołom obraźliwy gest, demonstrując okropnie krzywy środkowy palec ręki. Taki sam jak mój. Może odziedziczyliśmy go po mamie? – To właściwie moja wina, ponieważ samowolnie przedłużyłem swój pobyt tutaj. Po tym wypadku rodzice panikują...

– Po jakim wypadku? Mówisz o naszej mamie?

– Tak, nie powiedziałem całej prawdy. Nie chciałem, żebyś się bała. Rodzice podejrzewają, że ktoś chce ich śmierci. Prawdopodobnie z zemsty. – Oczy omalże nie wyskoczą mi z orbit.

– Dawno temu podejmując decyzję, co chcą robić w życiu, nie przypuszczali, że wyrzekają się normalnej i spokojnej egzystencji. To, co robią, to wojna z wiatrakami... Przysięgam, że nie znam szczegółów, ale powiem wam wszystko, co sam wiem. Ma to ścisły związek z rezolucją ONZ uchwaloną akurat wówczas, gdy ty się urodziłaś. Mój ojciec był młodym chłopakiem, studiował nauki polityczne i jednocześnie uprawiał wschodnie sztuki walki. Bardzo się przejął odradzającym się ruchem neofaszystowskim. Pisał pracę na temat procesów norymberskich i innych rozpraw przeciwko byłym hitlerowcom. Opowiadał o setkach ułaskawień sądów, wtedy RFN, o symbolicznych karach za wielokrotne morderstwa, gazowania ludzi i wreszcie o tych, którym udało się wymknąć wymiarowi sprawiedliwości. Nasza matka uznała, że wspólnie mogą przeciwdziałać szerzącemu się neonazizmowi...

– Jakie to naiwne. Czyżby naprawdę sądziła, iż zdoła coś zmienić? Jak dwoje ludzi zamierzało uleczyć świat, wykrzewić z umysłów szaleńców nacjonalistyczne zapędy? To kompletna bzdura. Nie spodziewałam się... takich tłumaczeń... – Ogromny głąz wtacza się w moją pierś, nie pozwala oddychać, mówić, zaczyna wręcz dusić.

– Widzisz, oni nie byli sami. Działali legalnie z ramienia organizacji. Dopiero gdy sprawy wymknęły się spod kontroli, musieli zabezpieczyć się sami. Uznali, że przecieki informacji w organizacji zagrażają ich życiu, zaufali tylko jednej osobie, która do dziś wspomaga ich w trudnych chwilach. Nie pytajcie tylko, kim jest ten człowiek, bo nie wiem. Domyślałam się jedynie, że to jakiś ważny polityk i biznesmen, być może któryś z magnatów prasowych.

Ale dostaję po uszach. Nie potrafię zrozumieć matki porzucającej własne dziecko dla utopijnych działań. A przecież do tej pory podziwiałam ludzi odważnych, rzucających się w wir historii, by z bliska zobaczyć to, co inni obejrzą w telewizji albo przeczytają w gazecie. A może to urażona duma okala serce fosą i nie dopuszcza niektórych myśli, pomocnych w wyzbieraniu spośród kamieni tych drogocennych szlachetnych diamentów?

Chciałabym zostać sama, przetrwać wieści, poukładać do odpowiednich szufladek, zrozumieć... Czy kiedykolwiek jej wysłucham? Czy się odważę? A może tak jak Scarlet, pomyślę o tym jutro?

## Rozdział 21

Przed moją Beatką nic się nie ukryje. Zapewne czyta mi z oczu jak szamanka z indiańskiej wioski. Od razu przechodzi do rzeczy.

– Aldona, co się stało? Wyglądasz, jakbyś przespała się z wampirem, coś ty taka blada?

– Właśnie dowiedziałam się, w imię jakich ideałów zostawiła mnie matka! Muszę to przełknąć i przetrwać, bo na razie tkwi mi o tu... – Moja grdyka przypomina zapewne pięciokilogramowy worek kartofli.

– Moje ty biedactwo, tak bym chciała ci jakoś pomóc. Czy musimy iść do tej szkoły?

No nie, przecież to jedyna okazja dla Beaty i jej tajemniczego znajomego z Tunezji. Muszę wziąć się w garść.

– Jedźmy już, pewnie i tak się spóźnimy. Pogadamy później. Filip z Julkiem będą zajęci do wieczora.

– Udaję, że szukam w torbie karteczki z pytaniami dla uczestników konkursu skrzypcowego.

– Cholera, zapomniałam pytań dla ciebie. Wymyśl coś, bardzo cię proszę...

– Jasne, spytam o tremę i takie tam pierdoły...

– Zawsze mogę na nią liczyć.

Przed szkołą tłumek słuchaczy zapatrzony w jedno okno, z którego wydobywają się dźwięki skrzypiec. Niestety nie mam pojęcia, jaki utwór grają, za to Beata świdruje na wylot zakłamanie oczy swojej przyjaciółki. Byle tylko się nie rozmyśliła i nie uciekła stąd.

– Nie patrz tak na mnie, nigdy nie słuchałaś deklamacji z akompaniamentem?! – Przezornie odwracam głowę i rozpoczynam przepychankę w kierunku drzwi. Gęstniejącą ludzką masę przepraszam najpiękniej, jak potrafię, posyłając niewinne uśmiechy okraszone wzruszającymi kłamstwami. – Och, tam gra moja córeczka. Proszę mnie przepuścić.

– Po chwili wchodzę do auli, ciągnąc za sobą niewinną owieczkę. Rozglądam się, wypatrując znanego mi profesora. Jest. A więc stajemy przed szansą konfrontacji. Może któryś z tych mężczyzn jest znajomym Beaty? O Boże, jaka jestem zdenerwowana. Chciałabym krzyknąć, może wtedy odwróci się, dostrzeże Beatę... Co tu robić? Wiem, zrobię z siebie idiotkę, trudno.

– Brawo, brawo! – wykrzykuję w przerwie utworu. Wszystkie głowy odwracają się w naszym kierunku. Ale to nic, może spojrzy i on. No, kiedy ją zobaczysz? Mój ty niezajomy tatusiu skrzypaczki.

– Cii... – szepcze jakiś meloman. – To jeszcze nie koniec.

Ręka Beaty chwyta mnie za łokieć, nakazując opuszczenie sali. Współczujące spojrzenia odprowadzają nas podczas wymarszu. Jest mi naprawdę przykro, chociaż z zupełnie innego powodu, niż przypuszczają ci ludzie.

Przed budynkiem szkoły moja przyjaciółka daje upust wzburzeniu.

– Co ty sobie wyobrażasz?! CO?! Od razu nie podobał mi się pomysł wywiadu. Ja wyczułam szwindel z twojej strony, ale żeby posunąć się aż tak daleko. Ty wywiadowco za dychę! Pamiętam, jak wypytywałaś mnie o tę małą. Cholera, prawie dałam się nabrać. Nie mogę uwierzyć... Gdzie idziesz, jeszcze nie skończyłam?

Wśród zgromadzonych ludzi dostrzegam profesora, z którym rozmawiałam. Chyba zrobiło mu się słabo, po podtrzymywany przez dwóch mężczyzn opuścił aulę. Po chwili cucenia otwiera oczy.

– Panie profesorze, przepraszam. Pamięta mnie pan?

Profesor odrzuca bujną czuprynę do tyłu i ciekawie zerka w moim kierunku.

– Oczywiście, że pamiętam. Chyba słoń nadepnął pani na ucho, skoro w połowie sonaty bije pani brawo. – A jednak pamięta.

– Ach, to... Rzeczywiście zachowałam się niegrzecznie... Ja tylko chciałam zapytać o jedną z pańskich uczennic, tę, która miała dzisiaj grać. Czy Zuzanna jest tam w środku?

– Już wiem, przypominam sobie panią. Nie, nie ma jej tutaj. Zdaje się, że złapała anginę ropną czy coś takiego. Jej matka odwołała dzisiejszy występ, a szkoda, szkoda, bo mała miałaby ogromną szansę wygrać.

W jednej chwili runął misternie zaplanowany spisek, teraz to już nic nie wymyślę. Psiakość! Wracam do samochodu, mijając trzymającą się pod boki Beatę. Nie, nie dam się zaatakować.

– Ty już mnie nie wkurzaj, dobrze? Nie mogę patrzeć na to, jak marnujesz czas. Zamiast korzystać z życia, ty zadręczasz się siedząc w domu jak jakiś asceta. Zapomniałaś, do czego służy ten kawałek mięsa? – Sięgam do piersi Beaty, ale ona odsuwa się jak od zadżumionej. – Żebyś przynajmniej z kimś się umawiała, to może dałabym się nabrać, że ci na nim nie zależy. Ale ty uparłaś się jak oślica. A ja wiesz, co zrobię? Na głowie stanę i ci go przyprowadzę. Zobaczysz, jeszcze pojedę nad to morze i spytam każdego gościa, czy przypadkiem nie był z tobą na wczasach, poczekaj tylko, ty... mulico! – Gdyby tylko siedzenia miały uszy.

Beata milczy. Może jednak trochę przesadziłam. Zaraz ryknie na mnie i będzie miała rację. Nikomu nie wolno pakować się z buciurami...

– Masz rację. – Beata spogląda na mnie tymi swoimi szklistymi oczyma. – Jestem beznadziejną oślicą. W dodatku beznadziejną i tchórzliwą oślicą. Spróbuję coś z tym zrobić, zanim ty wywiniesz jakiś kolejny numer.

– Kocham cię, ty mój uparciuchu. – Dobrze, że jednak na coś się przydał mój wygłup.

Zatopione we własnych myślach zbliżamy się do parkingu przed naszym blokiem. Już mam otworzyć usta, by wyżalić się na swój pokręcony jeszcze bardziej los, gdy przed maską wyrasta barczysta postać ze wzrokiem utkwionym w Beatę. Już wiem, że to ON, poznaję po tęsknym spojrzeniu i niecierpliwych ruchach podczas otwierania drzwi, po czułym powitaniu z odnalezioną wreszcie kobietą i przelotnym nic nieznaczącym mruknięciu pod moim adresem, przy przedstawianiu nas sobie. A jednak miałam rację co do uczuć Beaty. Takiej szczęśliwości nie widziałam u niej jeszcze nigdy. No cóż, pozostaje mi wypłakać się w poduszkę albo wziąć się

w garść. Patrzę z odrobiną zazdrości na przytuloną parę i czuję się jak... ojciec oddający rękę swej ukochanej jedynaczki obcemu facetowi. Tylko spróbuj ją skrzywdzić, a będziesz miał ze mną do czynienia!

W mieszkaniu rozpamiętuję jeszcze raz romantyczną scenę, której świadkiem byłam przed chwilą. Odtwarzam ją w myśli, a ona wydaje się fragmentem starego filmu z Bogartem. Ale to nie „Casablanka” mi się śni, tylko film, który widziałam kiedyś w telewizji, bodajże niemiecki, opowiadający o byłej esesmance próbującej zapomnieć o swej niechlubnej przeszłości. Budzę się zmarznięta i nieszczęśliwa. Żeby tak przysnąć w ciągu dnia i śnić koszmary?!

Czy moja mama zajmuje się odszukiwaniem zbrodniarzy wojennych? Pamiętam okrutną scenę wykonania wyroku na tej kobiecie z filmu. Golusienką zawieszono u sklepienia nogami do góry i obdarto ze skóry. Okropność czy zasłużona kara? Nie pokuszę się, by oceniać ludzi, którzy przeszli piekło obozu koncentracyjnego. Ale dlaczego moja mama wybrała taką właśnie drogę? Julek twierdzi, że działała z ramienia ONZ, a przynajmniej kiedyś tak było. Sięgam po encyklopedię i odszukuję kolejno hasła: neofaszyzm, neonazizm, totalitaryzm, ONZ... niewiele tego, właściwie same ogólniki. Kolejne hasło: denazyfikacja, czyli oczyszczanie życia społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego Niemiec z nazizmu. Tu wymieniono podstawowe zabiegi czynione w tym kierunku. A na koniec: „niekonsekwentnie przeprowadzona utrudniła ściganie zbrodniarzy wojennych i umożliwiła byłym nazistom obejmowanie stanowisk w życiu publicznym”. Jasne, pamiętam swoje oburzenie, gdy na którejś lekcji dowiedziałam się, że w latach sześćdziesiątych prezydentem NRF został były budowniczy obozu koncentracyjnego. Takich paradoksów musiało być o wiele więcej, szczególnie w tamtych latach, kiedy kończyły się kary więzienia dla byłych hitlerowców. Tylko jakim cudem moja mama dała się wciągnąć akurat w taką działalność? Jak już chciała zmieniać świat, mogła zacząć od obalania socjalizmu. Głupoty wymyślam, najwyraźniej przebywała pod wpływem ojca Julka. Tylko kiedy mogła go spotkać? Babcia utrzymuje, że wpadła w raczej rozrywkowe towarzystwo. Dlaczego, zostawiając mnie u dziadków, nie zdradziła swoich planów? Najpewniej były one tajemnicą. Dziadkowie, wiedząc, czym zamierza się zajmować, podnieśliby protest, próbowali przeszkodzić...

Czemu jednak przez tyle lat nie dawała znaku życia? Przecież urodziła kolejne dziecko i nie rozstała się z nim. Jakoś żyli we trójkę... mogli więc i we czwórkę... Tyle pytań, a od Julka już niewiele wyciągnę. On pamięta jedynie ciągłe przeprowadzki związane z zajęciem ojca. To naturalne, że nie dowiedział się o prawdziwej działalności rodziców. A jednak gdy dowiedział się o moim istnieniu, postanowił się spotkać. I choć musiał się czuć dość niezręcznie w tej sytuacji, odnalazł mnie, jest teraz ze mną i najwyraźniej cieszy się tak jak ja. A jeśli postanowi zostać, to zrobię wszystko, by mu w tym pomóc. Przecież jestem starszą siostrą. A jeśli rzeczywiście grozi mu niebezpieczeństwo? On może nie wiedzieć wszystkiego... Muszę porozmawiać, tylko z kim? Z mamą?

Dzwonek do drzwi ratuje moją biedną głowę przed pęknięciem. Postanawiam wybrać się do biblioteki. Odkładam encyklopedię i biegnę otworzyć.

– Cześć, kochanie. Wiem, że jesteś sama... Muszę ci o czymś powiedzieć. – Rozpromieniona Beata porywa mnie do tańca w rytm odgłosów sąsiedzkiego młotka.

– Jestem taka szczęśliwa, choć to nie ja dopomogłam losowi. Jak on cię znalazł?

– Wiesz, jak pomyśle o tym, co zrobiłaś... Jesteś szalona, zwariowana...

– Nie przesadzaj, na moim miejscu zrobiłabyś to samo. No, gadaj wreszcie, jak cię odnalazł ten Kuba?

– Po odprawie danej mu przez rodziców jakiś czas pokręcił się po Miławce. Dzwonił też do różnych agencji reklamowych, aż wreszcie wpadł na pomysł odszukanie mnie przez przychodnię onkologiczną, w której jestem zarejestrowana. Rozpoczął od Ursynowa i od razu mu się poszczęściło. Ponoć kawa i wzruszająca historyjka zmiękczyły serce pani rejestratorki, która podała mój adres. I tym sposobem trafił tutaj, rozumiesz? Wiem teraz, jak bardzo pragnął mnie odnaleźć, mam tę swoją pewność.

– A gdzie on jest teraz? Nie mogliście przyjść razem?

– Pojechał do córki. Zaplanował przyjazd wcześniej w związku z konkursem, na którym i my byłyśmy, a ponieważ mała się rozchorowała, najpierw pojawił się u mnie.

– No i wszystko dobrze się skończyło. Pewnie będziecie żyli długo i... daleko od siebie?

– Nie wiem, myślę, że jeszcze dziś coś postanowimy. Miałaś rację, żeby nie marnować więcej czasu. Jeśli tylko zaproponuje mi przeniesienie się do niego, natychmiast się zgodzę, nawet na koniec świata... – Rozmarzony głos, błogie spojrzenie – to jest właśnie miłość. Ciesz się jej szczęściem.

– Tylko nie na koniec świata. Chciałabym czasem porównać się z tobą, która z nas będzie grubsza...

– Dobrze tak pożartować. Tylko że ty masz jakiś problem, zgadza się?

– Oj, Beatko, sprawy się skomplikowały. Julek twierdzi, że nie wiedział o mnie aż do zeszłego roku. Jak by ci to powiedzieć, moja mama zajmuje się działalnością antyneonazistowską. Trudno mi nawet wymówić to słowo. To niebezpieczne zajęcie i prawdopodobnie z tego powodu nie odzywała się przez te lata. Nie wiem, czy drażnić dalej sama, czy po prostu skontaktować się z nią? Jeszcze nie jestem pewna, co zrobię, ale już nurtuje mnie tyle pytań. Od Julka niewiele już wyciągnę... Ty wiesz, że on przebywa tu z ochroniarzami? Pilnują go, bo rok temu nasza mama przeżyła zamach na swoje życie. Wyobrażasz sobie taką historię? Mało tu u nas porachunków między mafiami, potrzebni jeszcze neonaziści?

– To wszystko brzmi jak filmowy scenariusz... Słuchaj, ty musisz pójść za ciosem i dowiedzieć się więcej. Za dobrze cię znam, nie wytrzymasz w niewiedzy. Musisz spotkać się z matką, dać jej szansę... Potem zdecydujesz co dalej.

– Masz rację. Ale najpierw dokończę rozwikłanie zagadki pozostawionej nam przez dziadka. Odszukam pewien grób i spróbuję dowiedzieć się czegoś o tragedii sprzed lat. Nie mówiłam ci jeszcze o tym, ale w końcu będę gotowa, obiecuję. A przy okazji ochłonę troszkę...

– Zdziwiasz mnie, co ty jeszcze kombinujesz? Ja jestem w szoku, a co dopiero ty?

– Zaufaj mi. Pojedziemy z Julkiem i Filipem do rodzinnej wsi dziadka na grób jest siostry. Mam dziwne poczucie spełnienia jakiegoś obowiązku.

Tam postaram się dowiedzieć czegoś o historii sprzed sześćdziesięciu lat, która dotyczyła naszych korzeni. Oboje z Julkiem chcemy tego tak samo...

– Jesteś bardzo tajemnicza, mam nadzieję, że naprawdę mnie kiedyś oświecisz...

– Masz moje słowo.

Zostaję sama ze swoimi przemyśleniami. Wszystko zaczęło się od motyla, delikatnego jak mgielka, do złudzenia przypominającego czterolistną koniczynę. Gdyby mi się nie przyśnił, cały ten splot zdarzeń mógł się nie rozpocząć. Dlaczego wyśniłam takiego akurat motyla, jakiego zapamiętał dziadek z dzieciństwa? Dlaczego Julek pojawił się właśnie teraz, kiedy czytałam pamiętnik naszej prababki? Czy to tylko zbieg okoliczności? Przeznaczenie? I dlaczego tak mnie gna na grób Nastki, choć nikt wcześniej nie próbował analizować postępowania prababki? A może się mylę? Dziadek mógł wiedzieć dużo więcej, niż mi przekazał, i z niewiadomych względów zatrzymał te informacje dla siebie. Przecież odwiedzał grób siostry, bywał w rodzinnej wsi, być może próbował odnaleźć bohaterów dawnych wydarzeń. Przecież nie można zaznać spokoju i siedzieć z założonymi rękoma, nie pomściwszy takiego draństwa, mając świadomość, że koszmarny pan Leopold wywinął się sprawiedliwości. Czy dziadek próbował coś z tym zrobić, czy okazał się na tyle tchórzliwy, by obarczyć całą winą matkę?

Mam dość. Moglibyście już, chłopcy, przyjechać. Jeszcze niedawno uchodziłam za samotną starą pannę, a tu proszę i narzeczony, i brat za jednym zamachem. Coś takiego!



## Rozdział 22

Ruda wita nas jak zwykle spontanicznie. Chyba tylko stworzenia umieją wybaczać tak długie rozstania. Bez wyjaśnień przyjmują naszą obecność po całym dniu spędzonym poza domem. Nasza sunia wypiękniała albo przyzwyczaiłam się do jej wyglądu. Babcia przystrzygła jej sierść, wyszczotkowała, naprawdę całkiem przyzwoicie. Jakby na przekór moim myślom słyszę oburzony ton.

– Wyobraźcie sobie, co za wizytę dzisiaj miałam.

– Rozżalona opowiada o odwiedzinach policjanta.

– Ktoś doniósł im o Rudej suce głodzonej przez nas i przetrzymywanej siłą na uwięzi. Już ja się dowiem, kto był taki dowcipny! Tyle musiałam się natłumaczyć temu pacanowi, że to pomyłka...

– Spójrzmy na to z innej strony. To dobrze, że ludzie zwracają uwagę na krzywdzone stworzenia.

– Filip nie zdaje sobie sprawy z międzysąsiedzkich porachunków ciągnących się jeszcze od czasów dzieciństwa mojej mamy, a potem mojego.

– To na pewno ta jędza Łosiowa... Do dziś wypomina żarty Aldonki. Pamiętasz, jak się połaszczyła na tę starą portmonetkę, którą razem z Beatką przywiązałyście do sznurka? Próbowała ją podnieść i wtedy pociągałyście za koniec sznurka i portmonetka skoczyła na trawnik. Łosiowa zaczęła więc gonić za nią w podskokach, co oczywiście rozśmieszyło was ukryte w krzakach forsycji. – Na wspomnienie sąsiadki wściekle rozglądającej się po okolicy wybucham gromkim śmiechem.

– Jak ona chciała nam wtedy dolać, pamiętam.

– Po chwili dodaje jednak: – Myślę, że Filip może mieć rację. To mógł być przypadkowy przechodzień, wystarczy przecież na nią spojrzeć... – Ruda jak na komendę demonstruje wystające żebra podczas przeciągania się. – Zostawmy Łosiową w spokoju, bo kiedyś rzeczywiście troszkę jej nadokuczaliśmy... Babciu, chciałabym pogadać, możemy pójść do gabinetu?

– A kto przygotuje coś do zjedzenia? – Dlaczego wszystkie babcie chcą nas zaraz karmić?

– Już my z Julkiem zajmiemy się kuchnią. – Jeszcze po drodze Filip postanowił przygotować leczko.

W pokoju dziadka czas się zatrzymał. Dlaczego nie pomyślałem wcześniej, żeby wśród książek poutykanych na tych półkach poszukać interesujących mnie pozycji? Później spojrzę... Siadamy blisko siebie, nie mając odwagi zajmować fotela dziadka. Obie wpatrujemy się w miejsce siedziska wklęsłego od ciężaru człowieka, który je okupował kilkadziesiąt lat.

– Dlaczego dziadek nie pomścił krzywdy Nastki? Przecież wiedział o molestowaniu siostry,

przecież czytał pamiętnik...

– Jak ja się bałam tego pytania... Marceli chyba też. Już wolał umrzeć, aniżeli wypowiadać te słowa...

– To chyba naturalne, że o to pytam. Wydaje mi się, że każdy człowiek szukałby zemsty. Ja też. O czym takim mi nie powiedział?

– Kochanie, twój dziadek wrócił tam z zamiarem zabicia tego łotra. Miał zaledwie szesnaście lat, kiedy Julita zwróciła mu kuferek. Wzburzony zdecydował się pomścić siostrę i zapewne zrobiłby to, gdyby się o czymś nie dowiedział...

– O czym?

– Pobili się wtedy strasznie, Marceli wyjął nóż, ale dorosły mężczyzna ma więcej siły od nastolatka... Odebrał broń i gdy trzymał już ostrze na gardle Marcelego, wypowiedział słowa, które ugodziły twojego dziadka w samo serce... Sprawily więcej bólu niż najostrzejszy nóż.

– Co takiego?

– Że nie zgładzi własnego nasienia...

Głos uwiązył mi w gardle. Dlaczego nie pomyślałam o takiej ewentualności? Bałam się o tym pomyśleć, podobnie jak dziadek zepchnęłam taką możliwość do podświadomości.

– I co było dalej?

– Ten drań zaproponował Marcelemu pracę, mimo że był kolaborantem, najokrutniejszym i najbardziej wyrachowanym ze wszystkich, nawet nie ma określenia dla niego. Twój dziadek nie chciał uwierzyć w to, co usłyszał, ale nie mógł wykluczyć, że jest to prawda. Tym bardziej że wychowywał się u jego kuzynki... Przerazony i zaszokowany uciekł do lasu i tam spędził w partyzantce całą wojnę. Nigdy nie uwierzył do końca Leopoldowi, ale też nie zdobył pewności, że tamten kłamał.

– A nie mógł odnaleźć matki? Mogła wtedy jeszcze żyć...

– W momencie przejścia budynku więziennego Niemcy wymordowali wszystkich więźniów. Marceli postanowił nigdy więcej do tego nie wracać. Ale los zechciał inaczej... Twoja mama odkryła pamiętnik, zaczęła wypytywać, domagać się prawdy, jak to ona określała. Marceli nie potrafił jej wiele powiedzieć, pamiętał jednak nazwisko krewnej, u której się wychowywał... Sam nie odważył się z nią kontaktować, woląc ludzię się nadzieją, że Leopold kłamał.

– A czy mama odnalazła tę jego kuzynkę?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie sądzę jednak, ażeby tak się stało, Joasia pragnęła raczej odciąć się od całej sprawy, zapomnieć.

– Dziwne to wszystko... A jednak jeździł na grób siostry, pamiętał o niej... Jakie to wszystko przygnębiające, już nawet nie jestem pewna, czy moje życie jest takie zagmatwane, czy wydaje się bułką z masłem w porównaniu z życiem dziadka...

– Aldonko, naprawdę nie wiem, co powiedzieć... – Tulimy się, mając nadzieję na rozplatanie nici tajemnic pętających nas, a jednocześnie gotowych do rozerwania, napęczniałych niby kokon w ostatniej fazie rozwoju.

Czuję się, jakbym była w transie, zupełnie jakbym oglądała film ze sobą w roli głównej. Sama sobie wydaję się postronną obserwatorką. Czyżbym już się uodporniła na szokujące informacje? Dlaczego nie czuję w sobie złości? Najzwyczajniej coś przeczuwałam, dopiero teraz po uzyskaniu tej informacji, układanka zaczyna do siebie pasować. To był ten element, którego zabrakło, by powiązać zdarzenia w logiczną całość. Pozostaje jeszcze sprawa śmierci Nastki. Nie mogę uwierzyć, że zginęła z rąk matki. Już bardziej prawdopodobne wydaje się samobójstwo zdesperowanej małej dziewczynki. Prababka mogła znaleźć pamiętnik, a może list obciążający jej sumienie. Może wolała wziąć winę na własne barki, zamiast patrzeć, jak grzebią córkę za cmentarnym płotem? Być może uznała, że Leopold zajmie się ich synem? Chociaż z pamiętniczka nie wynika, by Nastka kiedykolwiek miewała samobójcze myśli. Myślała przede wszystkim o opiece nad młodszym braciszkiem... Nastko, tylko ty mogłabyś mi to powiedzieć, ale twoja matka... Jest jeszcze Alali, ale ona nigdy nie zdradzi swojej przyjaciółki.

– No i jak tam, mój rodzinny detektywie? Masz zamiar korzystać z moich usług czy się rozmyśliłaś? – Filip sprowadza mnie do współczesności.

– Niestety nie ominie cię wyjątkowa okazja umycia mi pleców. Jak cudownie mieć takiego faceta.

Późną nocą, gdy zwykli ludzie smacznie pochrapują ja staczam bój o sen. Nie pomaga zmiana pozycji, otwarcie okna, zamknięcie okna, cicha muzyka, nocna audycja w radiu...

– Też nie śpię, nie przejmuj się. – W dodatku obudziłam Filipa.

– Czy ty w ogóle to mnie jeszcze chcesz?

– Co się dzieje? Chcesz dowodu miłości?

– Ja nie żartuję, takie pokręcone korzenie nie wróżą nic dobrego, może drzemie we mnie jakaś bestia? Nie boisz się?

– Pomyśl o naszych dzieciach. One to dopiero będą miały klina.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, będą się zastanawiać, czy aby nie pochodzą z próbówki? Tyle teraz nowych możliwości...

– Właściwie to masz rację. Zdrady, gwałty, molestowania, kazirodztwo były i będą zawsze się zdarzały. A do tego cuda techniki... To, co zdarzyło się kiedyś w mojej rodzinie, nie powinno szokować ani dziwić. Tylko dlatego, że dotyczy mnie osobiście, tak bardzo to przeżywam. Inni obejrzeliby tę historię jak kolejny film po to, by nazajutrz nie pamiętać nawet tytułu.

– A tymczasem może uśmiercimy tego komara, co mi bzyka koło ucha? – Komary zawsze wybierają krew Filipa.

Wstaję, by włączyć światło. Po krótkim okresie polowania komarzycza rozplaszczona na ścianie. Ale jestem z siebie dumna.

– Dzięki za celność. Tylko dlaczego zrobiłaś to akurat moimi gatkami? – Też mi wdzięczność!

– A niby czyimi miałabym to robić? Kto byłby pogryziony?

Wreszcie zasypiam wtulona w nagie ramię. Doceniam poświęcenie Filipa, który na pewno dostanie kataru. Zawsze tak jest, gdy śpi na golasa.

## Rozdział 23

Czy słynni odkrywcy czuli to co ja w tej chwili? Choć nie szukam nowych lądów, nie tęsknię za niesamowitymi przygotowaniami, to moja misja dostarcza mi tyle frajdy co trzem Kolumbom razem wziętym. I w dodatku mam wspaniałych współników. Dwóch żeglarzy.

– „Hej żeglujże żeglarzu, całą nockę po morzu...” – Nie mogę dalej śpiewać. – Zatrzymaj się, Filip! Szybko!

Po chwili wypadam do rowu, niedobrze mi...

– Co się dzieje? – Dwuosobowy chórek żeglarzy jest bardzo ciekawy.

– To nic, jestem w ciąży... – Niewinne oczka kurczą się ze śmiechu. – Żartuję, zapomniałam o tabletkach. Do godziny jeszcze wytrzymuję, a my jedziemy dłużej. Szkoda tylko jajecznic... Dajcie trochę wody, to połknę tabletkę.

Robimy przerwę. Chłopaki idą w las, a ja rozkładam się na trawie i jak zwykle gapię się w niebo. Smugi białych chmur przypominają bieżnik opony samochodowej... Siadam na dźwięk odgłosu hamowania. Ze starego jak świat poloneza wytacza się otyły mężczyzna, szczyrzy zęby, a właściwie poczerznięta ich resztkę... brr...

– Może panience w czymś pomóc trza? Zepsuł się stary grat, co?

Powoli wstaję, rozglądam się... nie ma chłopaków, a cholerni ochroniarze też gdzieś przepadli.

– Dziękuję, mąż tylko poszedł na siusiu...

– Na siusiu... he, he, he... Bo my z kolegą chętnie się zaopiekujemy samotną kobitką... Mietek! A rusz się no tutaj, chłopie, babeczka czeka...

– Nie, naprawdę nie potrzebuję pomocy. – Próbuję zrobić krok w kierunku opła. Tłusta łapa kolegi Mietka chwytą mnie jednak za nadgarstek. – Proszę mnie puścić! Słyszysz ty... Au, to boli... Filip!!! – Drugie łapsko zasłania mi usta.

– Chodź, paniusiu, trochę sympatyczności, a dobrze będzie...

W czasie gdy koleś otwiera tylne drzwi i gramoli się do wyjścia z poloneza, usiłuję ugryźć dłoń przyciśniętą do twarzy, ale prędeż popękają mi zajady niż obejmę zębami to cielsko. Chyba powinnam zmówić jakąś modlitwę, ale nic nie przychodzi do głowy. Trudno, wywiozą mnie do lasu i koniec.

Nagle wypadki toczą się jak w sensacyjnym filmie. Czarne bmw zatrzymuje się koło poloneza i wyskakują z niego dwaj mężczyźni z przygotowanymi do strzału spluwami. Ja ląduję na ziemi, a przerażeni żądni wrażeń kolesie padają na kolana i z podniesionymi rękoma błagają o litość.

– My tylko tak żartowali, panowie... My by zapłacili, co do grosza, ile trza... Darujta życie...

A to skurwiele! Wzięli mnie za dziwkę z ochroną.

– Dawajcie, ile macie! No już, bo każę zastrzelić jak... – podejmuję się aktorskiego zadania.

– Już, już... – Sięgają do kieszeń. – To wszystko, co mamy...

– A teraz zjeżdżajcie, bo oskarżę o gwałt, łachudry!... Wynocha!

Dwa pokurcze wskakują do swojej fury i ruszają z piskiem. Panowie bodyguardzi zdążyli już schować broń. A ja myślałam, że postrzelam do puszki...

– Bardzo wam, panowie, dziękuję. Oni by mnie porwali, a Julek z Filipem poszli do lasu... Jeszcze raz bardzo dziękuję. – Nie mam pojęcia, czy mogę choć cmoknąć w policzki. Ochroniarze z filmów zostają kochankami albo zdrajcami swoich podopiecznych. – Przepraszam, mówicie po polsku?

– Oczywiście, że tak. Jesteśmy w Polsce. – No, wreszcie dostrzegam lekki uśmiech u jednego z panów.

– To może policzymy nasz łup? – Siadam i wysypuję z garści kilka banknotów i trochę bilonu. – Pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć, sześć, dziewięć... Mamy niecałe dziewięćdziesiąt złotych. Tylko tyle chcieli mi zapłacić? – Wreszcie rozśmieszyłam drugiego pana. Zbieram więc całą swoją odwagę i wstaję, by ucałować wybawców.

– Co tu się dzieje? – Znowu ciekawski chórek żeglarzy.

– Lepiej wy powiedzcie, gdzieście przepadli? Nie było was pół godziny... – Podobno najlepszą obroną jest atak?

– Ciesz się, że w ogóle wróciliśmy. Zaatakował nas wilk i musieliśmy łązić po drzewach. – Julek rzeczywiście ma rozdartą koszulkę.

– Tak do końca to nie jestem pewny, czy był prawdziwy, ale rozsądniej było zaczekać, aż sobie pójdzie. – Mój prawdomówny Filipek minimalizuje sensacyjną wiadomość.

– Co tam jakiś wilk, myśmy się zabawiali w Janosika. – Otwieram, dłoń z pieniędzmi. – Prawda, panowie? He, he, he... – usiłuję naśladować śmiech zbira. Spoglądam na ochroniarzy i we troje wybuchamy śmiechem.

W samochodzie panuje nieprzyzwoicie miły nastrój. Już niedługo będziemy na miejscu. Babcia wytłumaczyła Filipowi, jak najłatwiej trafić na cmentarz w Zwierzyńcu. Wioska, z której pochodził dziadek, położona jest w pobliżu miasteczka. Ale najpierw muszę zobaczyć grób Nastki. Mijamy śliczny staw.

– Widzicie ten piękny kościółek? – Podziwiam wybudowany na wysepce stawu jasny budynek, do którego prowadzi długi mostek. – Chciałabym go obejrzeć.

– Później tu wrócimy, kochanie. To już niedaleko.

– Jak tu ładnie. Te zielone wzgórza okalające miasteczko przypominają olbrzymów strzegących mieszkańców przed niebezpieczeństwem – zachwycam się urokliwym krajobrazem.

– Niestety, nie ustrzegły ich... Tu też hitlerowcy utworzyli obóz. Kogo nie zdążyli wymordować, ten umarł z głodu. Szczególnie wiele dzieciaków zmarło z wycieńczenia. – Julek zadziwia mnie.

– Skąd o tym wiesz?

– Poczytałem trochę. W bibliotece dziadka znalazłem kilka książek na ten temat.

– Rzeczywiście, to prawdziwa skarbnica wiedzy. Czasem odnajdywałam tam książki, których nie posiadały biblioteki.

– Wczoraj natknąłem się na opisy procesów w Norymberdze. Widziałem kilka filmów, trochę było na ten temat w szkołach, a i tak jestem w szoku. Przeczytałem relacje byłych więźniów Majdanka, Oświęcimia, Dachau... Trudno sobie wyobrazić, jak można być tak okrutnym, żeby wymordować tylu ludzi, przedtem jeszcze znęcając się nad nimi i po tym wszystkim pozostać cynikiem? Wiecie, że ja zwyczajnie poryczałem się nad tą lekturą? A najgorsze jest to, że po latach wciąż znajdują się naśladowcy, próbujący wmówić ludziom, że są lepsi.

– Dlatego nasza mama ma pełne ręce roboty – dodaje Julek.

– Jak dzięcioł... Jeden ptak nie uleczy lasu, ale setki może...

Cmentarz otoczono niskim płotkiem, ponad którym górują mogiły usypane na łagodnych wzgórkach. Z łatwością odnajdujemy starszą jego część. Odczytuję napisy z mijanych nagrobków: zbiorowa mogiła pomordowanych w latach 1943-44. Mieszkańcy Zamościa, Biłgoraju, Janowa Lubelskiego... Zbliżyliśmy się do najstarszego zakątka cmentarza. Już z dala dostrzegam zatopioną w zieleni jasną płytę z napisem: Anastazja Kołacz 1921-1930. Dopiero gest Julka, pochylonego i głaszczącego szczelnie pokrywające ziemię listki, uświadamia mi, co to za roślina. Zauroczona dorodnymi kształtami serduszek koniczyny, przysiadam na ławeczce i rozglądam się dookoła. Ten istny koniczynowy kobierzec porasta wyłącznie poletko wokół grobu Nastki. Zatem to nie może być przypadek.

– Może dziadek ją tu wysiał? – Julek myśli podobnie.

– Niesamowicie... jakby tysiące motyli przysiadło na ciasnym skrawku ziemi. – Odruchowo wypatruję czterech listków wyrastających z jednej łodyżki, a może ujrzę motyla? Na jawie? Anastazjo, kto dba o twój grobek, wrywa chwasty, czyści żółty nagrobek i pozostawia jedną lampkę?

Podnoszę się, by dotknąć szkiełko znicza.

– Jeszcze ciepłe... – W piersi jak szalone dudni serce. Julek i Filip, idąc za moim przykładem, obejmują szkło z resztką stearyny. Niedowiarki, mają głupie miny.

Babcia wspominała, że obsługa cmentarza dobrze opiekuje się grobem, ale znicz? Kolejne pytanie bez odpowiedzi. A może ktoś z mieszkańców wsi odwiedzał mogiłę bliskiej osoby i przy okazji zapalił lampkę Nastce? Przecież ja też tak czasem robię. Może ktoś po prostu zna opowieść o małej dziewczynce i poruszony nie potrafi przejść obojętnie obok urokliwego grobu?

– Przypomniał mi się fragment z pamiętnika, kiedy to Nastka znalazła czterolistną koniczynę. Pomyślała wtedy życzenie, wiecie jakie? – zwracam się do zadumanych panów.

– Pamiętam, prosiła o wyzdrowienie matki...

– Tak, Julek, ona przepraszała lalkę za to, że nie poprosiła o nią. Dla niej ta roślina miała magiczną moc. I dla dziadka.

– Myślisz, że to on wysiał tu koniczynę? Na pamiątkę dawnych zdarzeń? – Julek kręci z niedowierzaniem głową.

– Poszukajmy kogoś z pracowników cmentarza, być może tajemnica koniczyny sama się rozwiąże. – Filip obejmuje mnie i lekko pociąga w stronę dróżki.

Kiedy odnajdujemy w końcu budynek gospodarczy, okazuje się on zamknięty na cztery spusty. Pewnie służy jedynie za magazynek.

– Spróbujmy w kościółku na wodzie, przecież dziadek musiał gdzieś regulować rachunki.

Malowniczy budynek zastajemy również niedostępny. Z informacji zawieszanej u wejścia dowiadujemy się, że można go zwiedzać jedynie w niedzielę o godzinie siódmej, kiedy to raz na tydzień odprawiana jest msza. Spóźniliśmy się. A szkoda, bo chętnie zajrzałabym do jego wnętrza.

Wędrujemy do pobliskiej drewnianej willi z widocznym z daleka szyldem. Z bliska odczytujemy napis na tabliczce: Roztoczański Park Narodowy. Dyrekcja.

Oczywiście w niedzielę nie ma nikogo z dyrekcji, natomiast w okienku kasy dostrzegamy młodą kobietę. Ubrana w służbowy uśmiech zachęca do kupienia biletów uprawniających do zwiedzania rezerwatu Bukowa Góra.

– Szukamy kogoś z pracowników cmentarza albo z zarządu...

– Musicie państwo porozmawiać z proboszczem... Ale skoro już tu jesteście, zachęcam do obejrzenia naszej wystawy. Miejscowi twórcy ludowi wystawiają tu swoje prace. – Kobieta, nie czekając na odpowiedź, wyslizguje się z ciasnego pokoiku i usłużnie otwiera sąsiednie drzwi. Nie mam ochoty na oglądanie wypocin wiejskich artystów, ale Julek już pomaga w otwarciu przeraźliwie skrzypiących, ciężkich wrót. Zerkam na Filipa, po czym oboje skwapliwie podążamy za naszą przewodniczką. W sporej salce panuje półmrok, więc miła pani włącza światło. Rozglądam się po ścianach wypełnionych obrazami. W większości są to pejzaże, kilka portretów, rzeźby przedstawiające wychudzone postacie. W kącie dostrzegam ekspozycję malowideł na szkle. Kwiaty, motyle... Słabo mi.

– Filip, ja... – Nie pamiętam kolejnych minut z mojego życia. Chyba zemdlałam. Powoli powracam z wycieczki do krainy tchórzostwa. Muszę przełamać tę niemoc, nie lubię być na czyjejs łasce. Ktoś podaje szklankę z wodą. Kto powiedział, że chce mi się pić?

– Aldona! Dobrze już? Wezwać pogotowie? Jak się czujesz?

– Chyba już przechodzi... Tam było tak duszno... O Boże! Czy to prawda?! – Dociera do mnie rzeczywisty powód omdlenia. – Ten motyl?

– Wygląda na to, że tak... – Filip przygląda mi się zmartwiony.

– Kupmy go... – Przypominam sobie o pieniądzech w kieszeni.

– Jesteś pewna, że chcesz go mieć?

– Nigdy i niczego nie byłam bardziej pewna. Idziemy!

Szczerze zatroskana kasjerka ponownie włącza światło. Podchodzę prosto do kącika z malowidłami na szkle.



– To on. Nie mam żadnych wątpliwości. Poza tym, że musiałam jednak przeoczyć któryś z atlasów botanicznych. Spójrzcie. – Wskazuje inicjały autorki umieszczone w prawym dolnym rogu.

– A. K. – równocześnie wypowiadamy dwie litery, próbując ukryć wzruszenie.

– Piękny, prawda? Te cudenka dostarczono nam z pobliskiego zakładu dla umysłowo chorych. One nie są na sprzedaż, ale proszę spojrzeć na tę akwarelkę... – Kasjerka nic nie rozumie. Ja muszę mieć motyla!

– Chce pani powiedzieć, że te obrazki namalował jakiś wariat? Jest pani pewna? – Ale dzień!

– Wiem tylko, że pochodzą stamtąd. Przyniosła je pani doktor pracująca tam.

– A nie zna pani przypadkiem nazwiska autora? Przecież musi gdzieś tu być jakaś dokumentacja z wystawy? – Niech już powie to nazwisko. Niech już wiem, że to zbieg okoliczności.

– Poszukam, ale zapamiętałabym, gdyby było... – Kasjerka podchodzi do biurka, z którego szuflady wydobywa katalog. Zaglądam przez ramię uprzejmej pani. Na trzeciej stronie widnieją tytuły obrazów i ceny. Obok tytułów prac na szkle brak ceny. Za to wyraźnie zanotowano adres: Leśna 3.

– Tak, tych szkielek nawet nie wyceniono. Nie mogę ich sprzedać. – Bezradne spojrzenie bezradnego stworzenia. O nie!

– Płacimy dziewięćdziesiąt złotych i jest nasz. Ten zielonkawy motyl... – Niemalże pokazuję paluchem, o który obrazek mi chodzi. Wyskrobujemy drobne, by uzupełnić przechowywaną przeze mnie w kieszeni kwotę do dziewięćdziesięciu złotych. Po chwili przyciskam do piersi szklaną płytkę, szczęśliwa, że kasjerka nie upierała się przy swoim.

– Błagam, jedźmy tam od razu. Muszę już to wiedzieć. Inicjały pasują do dwóch osób, a raczej upiórów, ale przecież równie dobrze mogą należeć do zupełnie kogoś obcego. Szpital psychiatryczny?

– Coraz mniej mi się to podoba. Można zwariować z tymi waszymi tajemnicami. Myślałam, że takie rzeczy wymyślają scenarzyści... – Filip ma dość. Nawet mu się nie dziwię. Sama zgłupiałam dokumentnie. Patrzę z nadzieją na Julka.

– A ty czemu nic nie mówisz?

– Bo mnie zakneblowało... i tyle. – I jak tu zachować powagę? On to chyba robi specjalnie.

– Julek, mówi się: zatkało, zatkało. – Uśmiech jest mimowolny.

Wsiadamy do samochodu. Czarny wóz trzyma się wciąż w pobliżu.

Wysoki mur ciągnie się w nieskończoność. Wreszcie dojeżdżamy do bramy z ciasną stróżówką i kimającym na krześle wewnątrz wartownikiem.

– Do kogo państwo? – Stróż ziewa przeciągle.

– Jesteśmy z gazety. Chcemy napisać artykuł o szpitalu. – Podaję identyfikator.

– A umówieni są? – Kościstą dłonią przykłada moje zdjęcie do swojego oka nie dalej niż na pięć centymetrów.

– Nie, właściwie znaleźliśmy się tu przypadkiem. Obejrzelśmy wystawę prac artystów ludowych i postanowiliśmy opisać jednego z nich. Ponoć mieszka tu.

– To już lepiej zawołam dyżurnego doktora.

– A kierownika nie ma?

– Nie, panie, w niedzielę? Już dzwonię po lekarza. – Portier człapie do swojego buduaru. Obserwujemy zmagania z telefonem, a potem wyjaśnienie wspomagane gestykulacją. – Zaraz tu będzie!

– Trzymamy się wersji o artykule, dobrze?

Po około pół godzinie, kiedy to zapoznawaliśmy się z różnorodną fraezologią słowa choroba i psychiczna wypisaną na murze, człowiek w białym kitlu wzywa nas do furtki.

Powtarzam regułę o chęci bliższego poznania autora malowideł na szkle i innych ewentualnych twórców ukrytych przed rzeczywistym światem brudu i kłamstw.

– Wprawdzie nie ma dyrektora, ale myślę, że nie miałby tego państwu za złe. Proszę pójść za mną do gabinetu.

Po dziwacznej wymianie zaszyfrowanych znaków z portierem ruszamy w stronę rozłożystego budynku, dawnego dworku, dziś w oplakany stan. Za to otaczający nas park zachęca wręcz do spacerów i rozmyślań. Zadbane alejki z odświeżonymi białymi krawężnikami, klomby z wybujałą roślinnością, fikuśne, kolorowe ławeczki przywołały ze wspomnień dawno zapomniany ogród przedszkolny, do którego niegdyś uczęszczałam. W środku budynku pachnie szpitalem, lizolem lub innym środkiem odkażającym. Z obszernego holu prowadzą na piętro lśniące czystością drewniane schody z balustradą świetnie nadającą się do zjeżdżania. Pan doktor uchyla jednak drzwi na parterze, blisko wejścia.

– Powiem otwarcie... – Oho, doktorek przedstawi żądania nie do spełnienia. – Nie życzymy sobie skalowania naszej placówki. Trafiliście do zakładu niezbyt majątnego, lecz pod względem opieki nad chorymi doskonałego. Personel z pełnym oddaniem wykonuje obowiązki służbowe. Zresztą przekonacie się sami. Proszę jedynie o uczciwość, nic więcej.

– Nie przyszliśmy w złych zamiarach, proszę uwierzyć. – Na dowód wyjmuję zza pazuchy cenną zdobycz. – Bardzo nam się spodobał pomysł wystawienia tych prac.

– Już dobrze, wierzę pani. Nasi pacjenci uwielbiają wypowiadać się poprzez sztukę. Urządzamy dla nich wernisaże, wręczamy symboliczne nagrody... Tyle że prace są tak irracjonalne, zrozumiałe jedynie dla nich samych... Tych dzieł, umieszczonych w galerii nie malował pacjent.

– A kto? – pytamy zgodnym chórem. – Podano nam ten adres...

– Adres się zgadza. Otóż mieszka u nas wolontariuszka, pani, która latami opiekowała się chorymi, nie żądając w zamian jakiegokolwiek zapłaty, poza talerzem zupy. Jeszcze poprzedni dyrektor ustanowił zapis gwarantujący jej dożywotnie mieszkanie i jeden posiłek dziennie. W zamian za wielkie serce. I to właśnie ona jest autorką malowideł na szkle. Pozwoliła na sprzedaż swych prac, żądając jedynie anonimowości. Więc w tej sytuacji...

– Zanim pan odmówi, doktorze, chciałabym przysiąc, że jeśli ta pani nie zezwoli na publikację wywiadu, to zrezygnujemy, naprawdę.

– Dobrze, zatem spytajmy pani Adeli. – Podnosimy się wszyscy, a ja gotowa jestem zemdleć po raz drugi. Pani Adela!

Idziemy w głąb parku, mijając przepiękne krzewy rododendronów. Równie wspaniałe okazy widywałam chyba tylko podczas szkolnych wycieczek do Powsina.

– Pani Adela zamieszkuje w tym budynku. Niegdyś służył za magazyn żywnościowy, ale pacjenci sami przysposobili go na miłe mieszkanie. Nie dziwcie się tak, to zwykli ludzie, tylko bardziej wrażliwi... – Podoba mi się sposób, w jaki lekarz mówi o swych podopiecznych. – Poczekajcie tu chwilkę.

Budynek rzeczywiście jest skromny. Rozrastająca się winorośl niemalże całkowicie osłoniła frontową ścianę, zakrywając odrapany gdzieniegdzie tynk.

– Ładniutko tu. – Nie wiem, czym załatać dziurę czasową. Wszystko zaczyna mnie swędzieć, zgubiłam gdzieś w parku odwagę. Wracaj, rozbójniczko! – rozkazują sobie w myślach. – Czas na zapasy z przeszłością!

Wreszcie wychodzą. Znajomy doktor i wsparta na jego ramieniu staruszka. Chwytam najbliższą mi dłoń, by powstrzymać drżenie całej siebie. Bardzo szczupła, wręcz ascetyczna postać ubrana jest w kwiecistą letnią suknię, pasujące do niej pantofle, a jej głowę przysłania ogromny słomkowy kapelusz przewiązany kokardą. Zatrzymuję wzrok na twarzy. W komplecie z szyją przypomina ususzony w całości grzybek. Ta kobieta ma ze sto lat!

– Jeszcze nie, kochana. Dopiero za dwa lata skończę setkę. – Ciekawe, czy usłyszała wszystkie moje myśli?

– Dzień dobry pani. Jestem z ga...

– Wiem, kim jesteś... Dziękuję panu doktorowi, już może nas pan zostawić.

Wyraźnie zaintrygowany lekarz odchodzi tak wolno, jak to tylko możliwe. Nie wiem, czemu przypomniał mi się nieszczęsny Pinokio i jego pierwsza wyprawa do szkoły. Doskonale wiedział gdzie należy pójść, ale nogi zwyczajnie odmówiły mu posłuszeństwa. My mamy czas. Cierpliwie czekamy, aż biały kitel zniknie za drzewami.

– Skąd pani wie, kim jestem i co myślę?

– Czekałam na ciebie, na was... I nie zawiodła mnie intuicja, jesteście tu... nie mogę w to uwierzyć. – Staruszka wyjmując zza dekoltu karteczkę i podaje mi.

Czytam nagłos dwa słowa. – „Mądre dzieciaki”...

– Nie rozumiem, co oznacza ten telegram. – Nie rozumiem, o co tu chodzi... – Zwracam kartkę kościstej dłoni. Nie wiem, co powiedzieć, naprawdę.

– Wasza matka wysłała do mnie cztery telegramy, a każdy nie liczył więcej niż dwa słowa... Nie patrzcie na mnie jak na ducha. Jestem waszą prababką. Żywą, taką z krwi i kości. – Na znak, że mówi prawdę, szczypie się w ramię i wykrzywia twarz w komicznym grymasie. Mimo woli uśmiechamy się. – Ona tu była... Bardzo dawno temu, kiedy ciebie nosiła, o tu... – Jej dłoń

wędruje w kierunku mojego brzucha. Odruchowo osłaniam się torebką – Naprawdę tu była? Po co?

– Zapewne po to samo co i wy. Nie zadowolili się półprawdami jak Marceli...

– Odnalazła panią tutaj? Dlaczego nic nie powiedziała rodzicom ani mnie?

– Musiała mi przysiąc, że tego nie zrobi. To jest mój czyściec, tu czekałam na znak od córki... A wasza mama uszanowała moją boleść. Zrozumiała.

– Pani jest prawdziwą Adelą Kołacz. Wierzę. To cud, że pani żyje.

– Jeśli komuś przestaje zależeć na życiu, to śmierć omija go na kilometr. Otrzymałam od Boga możliwość odpokutowania za grzechy młodości... Kiedyś chciałam umrzeć, wychodziłam śmierci naprzeciw, ale ona mnie lekceważyła. Teraz wiem dlaczego... – Chwilkę ciszy przerywa banalne pytanie.

– Czy napijecie się herbatki? – Młody mężczyzna z tacą w ręku spadł chyba z nieba.

– Tak, bardzo prosimy. – Prababka robi miejsce na ławce obok siebie. Miły człowiek stawia naczynia z lalczynego serwisu i wyraźnie zadowolony z siebie, zachęca do poczęstunku. Idąc za przykładem innych, sięgam po żółtą filiżankę i rozpoczynam delektowanie się smakiem piasku.

– Pycha. – Zachwycamy się głośno, by nie sprawić przykrości dziwnemu gościowi. Pomimo komizmu całej tej sytuacji tłumię w sobie chęć spazmatycznego szloch. Muszę się trzymać, przecież to zabójczyni. Nie mogę myśleć o niej jak o prababce. To morderczyni...

– Nie, nie zabiłam swojej córki. – Skąd ona wie, o czym ja, u licha, myślę? Pacjent szpitala beznamiętnie odchodzi, jakbyśmy gawędzili o pogodzie. – Jednak spowodowałam ją swoją ślepotą i słabą wolą. Dlatego nałożyłam na siebie krzyż, poszłam do więzienia i pragnęłam umrzeć w męczarniach.

– Czy to oznacza, że Nastka targnęła się na swoje życie?

– O nie. To Welmer. Leopold Welmer ją zgwałcił i pozwolił, aby się wykrwawiła. Biedne dziecko! Jaka ja byłam ślepa!

– To dlaczego nie poszedł siedzieć?

– Rano, gdy ją znalazłam już nie żyła. Początkowo pomyślałam o samobójstwie, zaczęłam zmywać plamy krwi i przypadkiem wpadł mi w ręce pamiętnik. I lalka, o której ukradzenie posądziłam własne dziecko... Po lekturze zrozumiałam, co się stało. A ja właśnie zatarłam ślady, jego plamy, tego potwora... Pobiełam zaraz do dworu szukać sprawiedliwości. Bałam się, że drań zniszczy jedyny dowód winy, więc zawierzyłam panience Julicie i poprosiłam o przechowanie pamiętniczka i lalki. Powiedziałam jej prawdę, zaufałam, iż ukryje te pamiątki do procesu albo dla Marcelego, jak dorośnie. Sama rozmawiałam z tym bydlakiem. Wyśmiał mnie, powiedział, że kolesie z policji nie pozwolą go skrzywdzić. Dawał do zrozumienia, że mógł to zrobić każdy, bo zamknęłam własne dziecko w komórce... Miał rację. Przysięgał, że jak się sama obwinie, to on zapewni Marcelemu przyszłość. A ja... No cóż, winiłam siebie za to, że nie uwierzyłam słowom córki. A granatowi rzeczywiście działali na jego skinienie. Nie chciałam żyć z takim obciążeniem, miałam niewielki wybór... Byłam uzależniona od alkoholu i narkotyków.

Tak, Welmer podawał mi jakieś świństwo. Zdobywał je od znajomego doktora, swojego ziomka. Nie miałam z nim żadnych szans w sądzie. Przynajmniej tak wówczas myślałam...

– I dlatego poszła pani do komisarza i przyznała się do... – Nie może mi to słowo przejść przez gardło.

– Tak, zgłosiłam zabójstwo własnej córki. Nikt nawet nie pomyślał, że mogło być inaczej. Przecież ją biłam...

Patrzę jej prosto w oczy. Mówi prawdę, cała ta historia trzyma się kupy... Dreszcze ujawniają stan mego organizmu. Pocieram dłonią gołe ramiona, a i tak mam gęsią skórę. Stara kobieta nie próbuje jednak zbliżyć się, nie oczekuje czułości z mojej strony ani sama nie zamierza wykonać ciepłego gestu. Doceniam jej mądrość. Natychmiast odrzuciłabym jakąkolwiek pieśczętę z jej strony. Zaprasza nas jednak do domku.

– Wejdźmy do środka, zaparzę prawdziwej herbaty... Ten młody człowiek to tutejszy pacjent... Dziękuję za zachowanie panów, nie chciałabym żadnego z nich urazić. Są mi bardzo bliscy, w pewnym sensie stanowią moją rodzinę. Dużo rozmawiamy, pijemy na niby kawę, herbatę, urządzamy nawet przyjęcia na niby...

Wewnątrz panuje półmrok, zgrzebne meble zdradzają ascetyczną duszę gospodyni. Nad metalowym szpitalnym łóżkiem dostrzegam krzyż z wetkniętymi pod ramiona zdjęciami. Podchodzę bliżej, by przyrzeć się osobom, które przedstawiają. Tak, na jednym niewątpliwie rozpoznaję siebie sprzed kilkunastu lat, a na drugim mojego brata jako kilkuletniego brzdąca. W chwili gdy wyciągam po nie dłonią, prababka uprzedza pytanie, śpiesząc z wyjaśnieniem.

– Wasza matka podarowała mi je... – Jednak mnie bardziej interesuje fakt, skąd moja matka wytrzasnęła to zdjęcie?

– Czy to jakaś zmowa?! – wybucham z siłą wulkanu. – Moja matka kontaktuje się z panią, rozdaje moje fotki, a mnie nie raczy dać znaku życia?

Teraz staruszka jest wyraźnie zaskoczona. Julek wreszcie przełamuje odrętwienie i przychodzi z pomocą.

– Tylko ja mieszkam z naszą matką. Aldonę porzuciła zaraz po urodzeniu... Wychowali ją dziadkowie. Gdy dowiedziałem się, że mam siostrę, zażądałem spotkania z nią... Ale nie zdążyłem poznać dziadka...

– Tak, zmarł tuż przed przybyciem Julka, ale przed śmiercią podzielił się ze mną tajemnicą zamkniętą w pewnym kuferku... Gdy pojawił się Julek, wspólnie postanowiliśmy dowiedzieć się czegoś więcej... I tak trafiliśmy tutaj.

– W żadnym z telegramów nie ma mowy o tym, że nie mieszkacie razem... – Na dowód swych słów prababka wyjmuje spod materaca zwitki starych telegramów. – Ten przyszedł pierwszy: „Bydlę zdechło” – to o Leopoldzie. Wasza matka zamierzała go odnaleźć i najpewniej się jej to udało. Przed końcem wojny uciekł do Niemiec, udowodniwszy wcześniej swoje niemieckie pochodzenie. Czasem to i sami Niemcy dziwili się jego okrucieństwom. Osobiście wyszukiwał dzieci do zniemczania. A ilu wysłał do gazu, bojąc się ich zemsty? Ale to tylko

kropla w morzu draństw. Po ucieczce bezczelnie nawiązywał kontakty z rodzinami poszukującymi bliskich wywiezionych na przymusowe roboty. Naiwni ludzie płacili rzekomym pośrednikom za obietnice sprowadzenia ich z powrotem do kraju. Dopiero jak wyszło na jaw, kto za tym stoi, ludzi opętała szła wściekłości. A on sobie wygodnie za ich pieniądze żył... Mnie Pan Bóg na poprawę pozostawił, ale jego? Nie wiem po co?

– Pewnie po moim urodzeniu mama pojechała, by go odszukać. A później dała się wciągnąć w wir pracy dla ONZ...

– I nie kontaktowała się z tobą przez te wszystkie lata? A Marceli? Czy też nic o córce nie wiedział? Tak, widzę odpowiedź w waszych oczach. To takie dla mnie niepojęte...

– Ale jakże typowe dla naszej rodziny... – Wetknięta w serce kobiety szpilka nie zraziła jej.

– Każdy sam dokonuje wyboru... Później zaś płaci rachunek... Wiercie mi, nie było jej łatwo. Jestem pewna, że musiała tak postąpić.

Doprawdy wzruszające. Tylko czemu nikt nie spytał o zdanie mnie ani Julka? Muszę się z tym pogodzić. I choć żal mi starej kobiety, nie potrafię wykrzesać odrobiny miłości, nie rzucę się jej na szyję, by przywitać cudem odnaleziona prababkę. Pozwoliła, by trzy pokolenia wierzyły w jej winę, myślały o niej jako o dzieciobójczyni. Nie, nie zamierzam być jej sędzią, niech nadal żyje, jak sobie tego życzy i dźwiga ten swój krzyż. Wyjmuję zza pazuchy malowanego motyla i patrząc prosto w twarz, czekam na reakcję.

– To był mój drogowskaz dla was. Pomyślałam, że znacie już tę opowieść z pogrzebu.

– A przecież pani na nim nie było? Skąd zatem tak wierny obraz?

– A ty byłaś, mądrało?

– Mnie się przyśnił... Zresztą to od niego rozpoczęła się moja wędrówka do przeszłości.

– O motylu mówili wszyscy. Mnie poinformowała jedna ze współwięźniarek. I choć brzmiało to jak bajka, ja poczułam, że to prawda. Nazwałam go motylem przebaczenia... Odwiedził mnie po trzydziestu latach, kiedy prawie zwątpiłam w jego istnienie. Od tej pory trwam tutaj pogodzona z losem i szczęśliwa, że jestem komuś potrzebna. Po tym wszystkim, czego w życiu doświadczyłam, nie szukam dalej, nie oczekuję niczego...

– Czy w chwili wybuchu wojny była pani w więzieniu? – Przypominam sobie, co mówią na ten temat stare sprawozdania.

– Tak, po dziesięciu latach odosobnienia pozwolono mi pracować. Razem z innymi więźniarkami dowożono nas do szpitala. Tam rozdzielano między nas pracę w kuchni lub pralni. Późnym wieczorem wracałyśmy do więzienia. Ale pewnego dnia ciężarówka nie przyjechała, jakby o nas zapomniano. Pilnujący nas strażnicy dowiedzieli się o wymordowaniu wszystkich więźniów... i darowali nam życie. Inne kobiety rozpierzchły się po okolicy, a ja zostałam. Niemcy przyszli jeszcze tej samej nocy... Jedna z pielęgniarek dała mi przebranie i czepek pielęgniarki. Była pewna, że personel ocaleje. Wyprowadzili wszystkich przed budynek. Kto nie miał siły wstać, otrzymywał kulę w głowę... Sukcesywnie, po dziesięć osób stawiano pod ścianę i rozstrzeliwano. Gdy na placyku pozostały jedynie osoby w białych fartuchach, zbliżył się do nas

jakiś oficer i wskazując paluchem, wybrał trzy osoby. Kobiety. Byłam wśród nich. Pomyślałam, że wreszcie koniec mojej ziemskiej męki, że w końcu mnie zabiją. Jednak myliłam się. Pchnięto nas w stronę samochodu i wywieziono... Słyszałyśmy odgłosy serii karabinów za sobą. – Zastanawiam się, czy ta pielęgniarka, która pomogła prababce... – Moja wybawicielka pozostała z tamtymi. Paradoks, prawda? Lecz wkrótce okazało się, że szybka śmierć to łaska w porównaniu z tym, co przeżyliśmy później. Zawieziono nas do sierocińca dla dzieci przeznaczonych do germanizacji. Miałyśmy opiekować się maluchami oderwanymi od rodziców... Tam dowiedziałam się o działalności Welmera... – Chwila pauzy, której nie śmie przerwać nikt z nas. Ile zła może uczynić jeden człowiek? Ile draństw jeszcze ma na sumieniu? – Leopold Welmer skazał na śmierć setki dzieci, ale mojemu Marcelemu pomógł przetrwać. Otrzymałam wkrótce lakoniczną informację, że mój syn jest bezpieczny w Pilawie. Wiedziałam, że mieszka tam nasza kuzynka, nauczycielka. Chciałam wierzyć, że to prawda...

– Tak, dziadek przebywał u niej jakiś czas. Mając kilkanaście lat, zjawił się we dworze, zanim jeszcze zajęli go Niemcy. Dostał od panienki Julity kuferek...

– Tak, wiem już o tym od waszej matki.

– Więc wie pani również o bójce Marcelego z Leopoldem. – Tu zaskakuję starszą panią.

– Nic nie wiem o bójce... Czemu Joasia ją przemilczała?

– Mogła nic nie wiedzieć. Mnie babcia powiedziała dopiero wczoraj.

– Powiedz, co wiesz, proszę...

– Marceli skontaktował się z Julitą w momencie, gdy szykowała się do opuszczenia kraju. Na rękę jej było pozbycie się starych zobowiązań. Dobrze, że nie zniszczyła dowodów obciążających jej ojca. Po przeczytaniu notatek Nastki dziadek powziął zamiar zabicia Welmera. Dotarł do niego i z zaskoczenia zaatakował go. Jednak w czasie bójki tamten odebrał nóż i przystawił do gardła dziadka... Potem zaś darował mu życie... Powiedział coś, co wstrząsnęło młodym chłopakiem... coś, co...

– O Boże, domyślałam się! – Po raz pierwszy z twarzy kobiety znika obojętność. Zakrywa uczucie przerażenia dłońmi i roni łzę. Ale tylko jedną.

Muszę natychmiast wyjść na powietrze. Czemu wciąż mi duszno? Co się ze mną dzieje, że nie panuję nad sobą? Przysiadam na ławce i chlipię cichutko.

Łatanie tych siedemdziesięciu lat jest takie trudne, ponad moje siły. Gdyby choć jeden z aktorów tej sztuki postąpił inaczej, wszystkie kolejne sceny rozegrałyby się inaczej. Gdyby nie to kłamstwo... gdyby, gdyby? Podnoszę głowę i stwierdzam, że nie jestem sama. Otacza mnie wianuszek osobliwych gości. Przyszli tak cicho, z twarzami pełnymi smutku i współczucia godnymi najlepszych mimów. Pierwsza dotyka mnie jakaś staruszka, tuli i ustępuje miejsce innym. Kolejno podchodzą i przytulają się młodzi i starzy pensjonariusze... Oddaję uściski, klepię delikatnie po ramionach i czuję wreszcie ulgę. Już mi lepiej... Chcę tym ludziom sprawić radość, odplacić za dobroć... Tylko jak?

– Dziękuję wam. Jestem prawnuczką pani Adeli... – wyznaję z dumą. Lecz zamiast

oczekiwanego zadowolenia, moi pocieszyciele zwołują krótką naradę, po której składają buńczuczną deklarację.

– Nie oddamy naszej pani Adeli. Kochamy ją. – Podoba mi się wystąpienie młodego mężczyzny „od herbatki” wyrażające wolę pacjentów.

– Kiedy ja jej nie zabieram. Ona też was bardzo kocha. – Chyba mi wierzą, bo na każdej twarzy dostrzegam triumfujący uśmiezek. Ci ludzie reagują jak na komendę, przesadnie wykrzywiając, się by okazać, co czują. Przynajmniej nikt nie ma wątpliwości, co myślą, mają serca na twarzach.

Wracam do domku, gdzie panowie zdążyli zapoznać się z treścią pozostałych telegramów od mamy. Sięgam po nie i odczytuję: „Jest Aldona” i „Mam syna”. Tylko tyle... W czterech słowach zawarte kilkadziesiąt lat. Okazuje się, że dzieci były na tyle ważne, by wysłać telegram... I nic więcej... Próbuję wyobrazić sobie matkę wykonującą z ukrycia zdjęcie dziewczynce. Mnie...

Rozmawiamy do zmroku, a potem przenosimy się pod gwiazdy, by przy ich świetle nadgonić choć w części stracony czas. Już wiem, że tu wrócę.

Podczas pożegnania otrzymuję zagadkowy prezent, wyszeptany do ucha...

Decydujemy się wracać do domu. Panowie mają zamiar prowadzić na zmianę, więc mogę spokojnie spać. Ostatnia myśl, która przychodzi mi do głowy, dotyczy dziadka. Czy rozmówił się z kim trzeba po tej „lewej stronie”? A później porywa mnie wojna. Jestem w obozie dla dzieci. Mimo że noszę biały czepek, nie jestem w stanie przynieść nikomu ulgi. Dzieciaczki umierają mi na rękach z wycieńczenia i głodu. Brak jedzenia, leków, drobne ciała tulą się, wyszukując choćby skrawka wolnego ciała. Chciałabym dotknąć każdego i umrzeć wraz z nimi. Byleby szybko...

Budzę się z przeświadczeniem, że Bóg nie może być małym kapryśnym dzieckiem. Ono nie byłoby w stanie wymyślić takich okrucieństw...



## Rozdział 24

Obudzona przed świtem babcia nie ma zamiaru wracać do łóżka. Biorę na siebie obowiązek zaspokojenia jej ciekawości. Oczywiście już po naszych minach zorientowała się, że przywieźliśmy „bombę”. Nawet czuję się jak saper stojący przed wyborem drucika do przecięcia. Na początek wyjmuję witraż z motylem. Babcia nie kryje podziwu i zdumienia.

– Jaki piękny, kto go namalował?

– Moja prababka. Adela Kołacz. Ona żyje... ma 98 lat i mieszka na terenie zakładu psychiatrycznego, w którym pracowała po wojnie. – Z miny babci wnioskuję, że nie dowierza.

– Nie mogę w to uwierzyć. Twój dziadek poszukiwał jej. Podobno zginęła wraz z innymi więźniami... Nikt miał nie ocaleć...

– To nie koniec niespodzianek. Moja mama też ją odnalazła... trzydzieści lat temu. Jednak zanim ci opowiem, co wiem, chciałabym usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie. Dobrze?

– Oczywiście... jak to możliwe?

– Babciu, czy ty lub dziadek wysłaliście mamie moje zdjęcie?

– Nie, skarbie, nigdy. Nie znaleźliśmy jej adresu, nawet nie mieliśmy pewności, czy w ogóle żyje.

No tak, teraz moja fantazja gotowa wyrobić tysiąc procent normy. Naturalnie pierwszą wizją, która mnie dopadła, jest obraz tajemniczej kobiety fotografującej z ukrycia małą dziewczynkę, czyli mnie. A może była całkiem blisko, tylko ja nieświadoma i zubożona nie dostrzegłam jej? Nie, to bez sensu. Która matka wytrzymałaby taką próbę? A może po prostu zleciła komuś wykonanie zdjęć?

– Coś się tak zamyśliła? – Babcia pogania do dalszej opowieści. – Jak ją odnaleźliście? Jak zareagowała na wasz widok? Jak ona teraz wygląda? Opowiadaj!

Powoli i ostrożnie zdradzam sekrety rozmowy z prababką. Również i ten o spotkaniu na cmentarzu. Mówię o tym, jak dziadek płakał nad grobem siostry i zaślepiony nienawiścią do matki minął się z nią, nie spojrzawszy nawet w jej kierunku. Historia ta przypomina mi fragment baśni o Alali. Książę Bertrand również uległ złym słowom, uwierzył wrogom iomalże nie utracił ukochanej kobiety. W baśni pomogły czary, natomiast dziadek odsunął w głąb serca motyla, aż do momentu gdy przeczytał moje opowiadanie. Wówczas zwrócił się do mnie. Może nie miał już sił na boje z przeszłością? Zlecił je mnie, a sam obserwuje teraz z ukrycia, jak się sprawy mają?

– Przecież wiesz, dlaczego dziadek taki był...

– Babciu, ten człowiek oszukał dziadka! Doskonale wiedział, jak taka wiadomość wpłynie na młodego człowieka. Temu draniowi jednym kłamstwem udało się skłócić matkę i syna... na zawsze. Adela Kołacz nigdy nie domagała się przebaczenia, uznała, że syn ma prawo jej nienawidzić. Podczas opowieści o bójce dziadka z Welmerem zauważyłam ulgę na jej twarzy.

Myślę, że dopiero teraz zrozumiała, co tak naprawdę czuł. Oni się pogodzą... Uwierz mi, babciu, Adela czekała na syna, całe życie na niego czekała. I ta myśl trzymała ją przy życiu...

Ciągnę opowieść o życiu prababki, lecz w końcu załamuję się. Bo jak można w sposób beznamiętny przekazać taką historię?

– Wyobraź sobie babciu, jak w rozpaczliwym geście chwytła konającego chłopca, podobnego fizycznie do jej syna i ucieka z nim, nie oglądając się za siebie? Do dzisiaj zastanawia się, czy strażnik podarował jej życie, czy zwyczajnie usnął na służbie? Od obozu do klasztoru było kilkanaście kilometrów, a ona nawet nie pamięta, kiedy znalazła schronienie. Siostry zakonne przekonane, że oszalała po śmierci synka zamknęły ją wraz z innymi chorymi... Tak, dziecko, które dźwigała, umarło po drodze, a ona tego nie zauważyła. – Łzy uniemożliwiają dalszą relację. Ruda zaniepokojona szlochem wpycha nos pomiędzy moje dłonie i rozplata je. Po chwili liże ich wnętrze, dając wyraz swemu przywiązaniu i miłości.

– Mam nadzieję, że teraz czekają cię same radości... – Babcia jeszcze nie ma pojęcia, jaką niespodziankę zgotował mi być może los. Jestem prawie pewna...

Wtorkowe popołudnie spędzamy w towarzystwie Beaty i Kuby. Wreszcie mam dużo czasu na rozmowy z przyjaciółką. Obie w końcu dorosłyśmy, obie zakładamy rodziny. I chociaż każda dźwiga pokaźny bagaż, mamy pomocników. Tymczasem wymykamy się z Beatą do mojego pokoiku, by jeszcze raz odbyć podróż w czasie. Moja przyjaciółka nie zadaje pytań. Słucha, aż powiem, że to już koniec.

– Jak to koniec? A co z twoją mamą?

– Julek zabierze zaproszenie na ślub. Niech sama zdecyduje, czy może lub chce z niego skorzystać. Ja już jestem gotowa na to spotkanie... A może już więcej o niej nie usłyszę?

– To pojedź do niej, razem z Julkiem.

– Myślałam już o tym, ale to może okazać się niebezpieczne. Nie chciałabym nikogo narażać... Tym bardziej że ... Wiesz, co Adela Kołacz szepnęła mi przy rozstaniu? Nie wiem, skąd wiedziała, ale test wyszedł dodatni.

– To cudowne! Naprawdę będę ciotką?! – Beata odsłania mi brzuch. – Słuchaj, maleństwo, tu mówi twoja matka chrzestna. Masz być dziewczynką albo chłopczykiem. I tak już cię kocham.

– Filip jest taki szczęśliwy, już namówił babcię na mały remoncik, zamieszkamy tutaj.

– Będziesz wreszcie miała czas na napisanie książki...

– Jakiej znowu książki?

– Ty chyba żartujesz? Jak to jakiej książki? Mało przeżyłaś? Tyle fantastycznych zdarzeń, a ona się pyta jakiej książki?

– Przecież nikt by nie uwierzył w taką historię, coś ty...

– I właśnie o to chodzi. Nikt nie uwierzy, że zdarzyła się naprawdę.